ŚWIATOWID

nr. 28

540 LAT HEJNAŁU MARJACKIEGO W KRAKOWIE.



Pięćsetczterdzieści lat mija od chwili, kiedy po raz pierwszy rozległ się hejnał z wieży Marjackiej w Krakowie. Hejnał ten przetrwał wieki i zrósł się nierozdzielnie z tem miastem. Słuchał go Kraków za czasów potęgi Jagiellonów, słuchał w okresie upadku Rzeczypospolitej i słucha dziś w Polsce Odrodzonej. Od kilku lat włączony w program Polskiego Radja, niesie się ten hejnał po całej ziemi polskiej. Bliższe szczegóły na stronie 12—13-tej.

Ag. fot. „Światowida"

Z WARSZAWY W KILKU WIERSZACH.

ZJAZD STRZELCA. Ubiegłej niedzieli odbył się w Warszawie zwyczajny Walny Zjazd Związku Strzeleckiego przy udziale około 2.000 delegatów z całej Polski. W zebraniu inauguracyjnem i w obradach wzięli udział przedstawiciele rządu, pp. premjer Prystor i min. Jędrzejewicz, oraz prezes Sławek, gen. Rydz-Śmigły i inni. Przewodniczył płk. dr. Kaplicki (x) z Krakowa, obok niego zaś zasiadali w prezydjum, które przedstawia nasze zdjęcie, pp. inż. Meyer, Bójnicki, Rudnicki, dr. Mozołowski, Czystowski i Zamecznik.



Na lewo: **NASZE REPREZENTANTKI NA MIĘDZYNARODOWYM KONKURSIE TAŃCA W PARYŻU.** W konkursie tańca, odbywającym się obecnie w stolicy Francji, reprezentantkami choreografji polskiej są członkinie baletów p. Tacjany Wysockiej z Warszawy i Ireny Prusickiej z Łodzi. Te ostatnie wyjechały w tych dniach do Paryża z dworca głównego w Warszawie, gdzie nasz fotograf dokonał zdjęcia uroczych tancerek.



U dołu: **PREMJER PRZYJMUJE POLSKĄ DRUŻYNĘ OLIMPIJSKĄ.** Już bliskim jest termin międzynarodowych igrzysk olimpijskich w Los Angeles. Polską drużynę, która walczyć tam będzie o honor naszego sportu, podejmował w pałacu prezydjum Rady Ministrów herbatą p. premjer Prystor. Nasze zdjęcie przedstawia dostojnego gospodarza (x) w otoczeniu gości. A mianowicie siedzą (od lewej) pp. Muszałówna, płk. Ulrych, Schabińska, gen. Rouppert. po drugiej stronie p. premiera płk. Kiliński i płk. Lewiński. Wśród stojących zwracamy uwagę na pp. Znajdowskiego (1), Kusocińskiego (2), Dobrowolskiego (3), Segdę (4), Nycza (5), płk. Gladisza (6) i płk. Krzyskiego (7).



Obok: Król Bractwa lwowskiego p. Tarnowiecki.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. CZ. DATKA — KATOWICE.

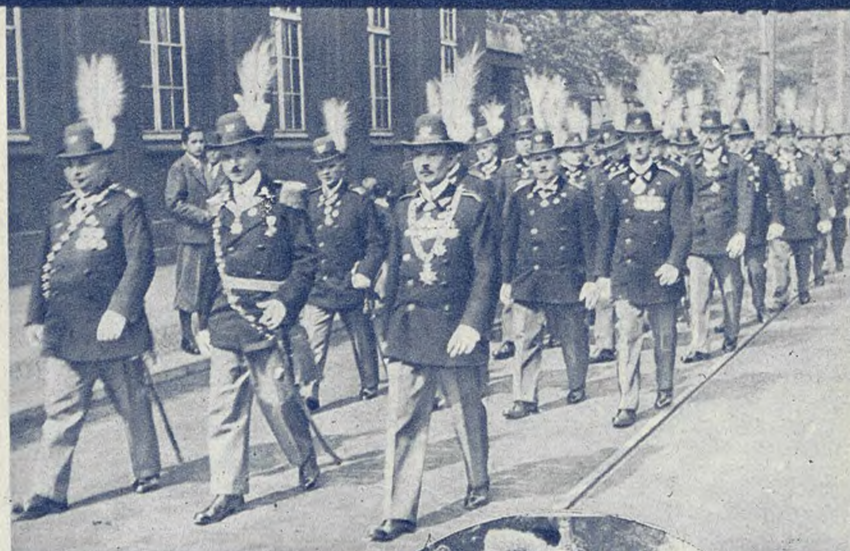
KONGRES BRACTW KURKOWYCH W KATOWICACH.

Dnia 26 czerwca b. r. odbył się w Katowicach imponujący kongres Zjednoczenia Kurkowych Bractw Strzeleckich. Przygotowaniem tego kongresu zajęło się Bractwo strzeleckie w Katowicach z prezesem inż. Widuchem na czele. Zebrało się około 1.000 delegatów w barwnych strojach, którzy o godz. 9 rano uformowali się w malowniczy pochód z Pl. Wolności i ruszyli przed gmach ratuszowy, a następnie do katedry św. Piotra i Pawła, gdzie nabożeństwo odprawił ks. kanonik Mathea. Po nabożeństwie złożono wieńce na płycie Nieznanego Powstańca, poczem udano się do teatru na uroczystą akademję.

Po obiedzie na strzelnicy oddano szereg strzałów na cześć Rzeczypospolitej, p. Prezydenta Rzplitej, króra Zjednoczenia p. Tyrchana itd.

Publiczność szczególnie owacyjnie witała delegatów lwowskich, którzy zjawili się w wspaniałych kontuszach i poznańskich, którzy zachwycali doskonałą postawą.

Stolica Śląska przeżyła niezwykle piękny dzień.



Powyżej: Delegaci okręgu poznańskiego.





W kole: Delegaci Bractw kurkowych składają wieniec na grobie Nieznanego Powstańca w Katowicach.

Na lewo: Król Zjednoczenia kurkowego p. Tyrchan z Torunia przyjmuje defiladę. Obok niego po lewej stronie wojewoda śląski dr. M. Grażyński, i marszałek Sejmu śląskiego dr. K. Wolny, po prawej prezydent miasta Katowic dr. A. Kocur.

PIERWSZY POLSKI ZJAZD OŚWIATOWY



Czołowi uczestnicy Pierwszego Zjazdu Oświatowego w Stanach Zjedn. Stoją od lewej: dr. P. Fox, prof. Uniwersytetu w Chicago — p. Stapiński — profesorowie Stanisław Gałązka i H. Konopnicki, delegaci Ministerstwa Oświaty z Polski — p. M. Nestorowiczowa, wiceprezeska Rady Szkolnej w Buffalo i nacz. redaktorka „Dziennika dla Wszystkich" — p. J. Rusyn, prezes największej organizacji polskiej na Wschodzie — p. B. Głowacki, redaktor czasopisma dla młodzieży „Nasza Szkoła" i p. W. Guściora, kierownik szkoły. W głębi stoją m. in. p. W. Błażewicz, redaktor „Nowego Świata" i przewodniczący Zjazdu — p. H. Liwacz, znany działacz oświatowy — p. J. Kowalski, prezes Związku Nauczycieli — p. Z. Wołowicz, sekretarz tegoż Związku — p. H. Ostrowska — p. S. Kowalski — p. Kamiński — p. Brzustowicz i inni.

W STANACH ZJEDNOCZ. A. P.

Nowym Jorku odbył się pierwszy polski zjazd oświatowych w Stanach Zjednoczonych, połączony z wystawą szkolną.

Zjazd zagaił przybyły niedawno z Polski wicekonsul p. E. Kaleński, znany fundator hojnej ofiary na rzecz Muzeum Narodowego w Krakowie, a następnie prezes Centrali szkół dokształcających p. Błażewicz wygłosił referat o historji tych szkół. Z referatu tego dowiedzieliśmy się, że obecnie działa na terenie Stanów Zjednoczonych blisko 200-cie takich polskich szkół dokształcających, w których uczy się ponad 14.000 młodzieży pod kierunkiem 100 nauczycieli.

Po dalszych przemówieniach i po dłuższych dyskusjach, powzięto szereg uchwał. M. in. zaproponowano, aby następny Zjazd zwołał Wydział Oświatowy Związku Narodowego Polskiego w jednem z miast centralnych St. Zjednoczonych, zaproponowano zakładanie Towarzystw Przyjaciół Szkół polskich, oraz urządzanie zbiórek na szkoły polskie corocznie w dzień Pułaskiego, tj. 11 października. Zaaprobowano również szereg wniosków w kierunku poparcia pisma dla młodzieży, p. t. „Nasza Szkoła".

Na Zjazd przybyło około 1.000 dzieci szkolnych w barwnych strojach narodowych, uformowanych w oddziały ze sztandarami polskiemi i amerykańskiemi. Z malowniczych tych grup dokonano zdjęcia filmowego, które będzie wyświetlane w ważniejszych osiedlach wychodźtwa.

Na Zjeździe panowała atmosfera głębokiej i rozumnej troski o przyszłość polskiego szkolnictwa, a temsamem i o polską przyszłość w Ameryce.

Cześć tym wytrwałym pracownikom na niwie polskiego szkolnictwa za Oceanem.

WYBUCH WEZUWJUSZA... NA ZAMÓWIENIE.

Zdawałoby się, że ludzkość ma dosyć katastrof żywiołowych, jak trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów itp. Tymczasem okazuje się, że w naturze ludzkiej tkwi pociąg do wszelkiej niesamowitości i ustawiczny głód sensacyjnych wzruszeń. Tem tylko można wytłumaczyć wiadomość, jaką podały niedawno gazety, że na szczycie wulkanu Wezuwjusza pod Neapolem zainscenizowano — sztuczny wybuch.

Na tę osobliwą uroczystość przybyły do Neapolu specjalne pociągi, wioząc tłumy sprągnione niepowszednich emocyj. O zachodzie słońca cały Neapol wyległ na San Martino i na dachy wyniosłych pałaców oraz kamienic, aby przypatrywać się sztucznemu wybuchowi. Odważniejsi pojechali kolejką do stóp wzgórz pod Wezuwjuszem.

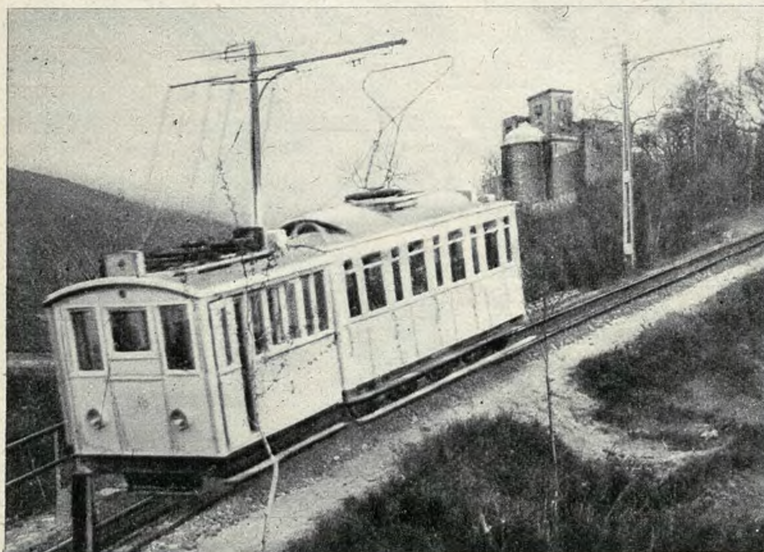
O godz. 21.30 pojawiło się na wierzchołku Wezuwjusza urywane błyskanie, poczem powietrze rozdarł podziemny ryk. Wielki słup ognia wytrysnął nad wulkan i oświetlił całą okolicę. Następnie, gdy opadły płomienne języki, wystrzelające do wysokości 100 m., następował znowu ryk podziemny, przypominający granie dział, przygotowujących się do ofensywy.

W kilka minut po tem niesamowitem preludjum, pojawiło się na stokach Wezuwjusza morze lawy, która spływała w dół strumieniami na szerokość 30 m. Nie trzeba dodawać, że lawa ta była imitacją, podobnie jak sztuczny był słup ognia nad kraterem i podziemne ryki wulkanu...

Całą tę historję zainscenizował pułk saperów, który odtworzył do złudzenia wybuch wulkanu, z deszczem popiołu i spływającą lawą włącznie. Tłumom włoskim, rozkochanym w efektach teatralnych, widowisko to podobało się niebywale i co chwila podrywały się okrzyki zachwytu.

I gdy tak ludzie silili się na imitowanie grozy wulkanu, pamiętnego w historji Włoch z szeregu katastrofalnych wybuchów (ostatni wydarzył się w r. 1929), autentyczny Wezuwjusz dymił sobie spokojnie, dziwiąc się zapewne tym niestworzonym hałasom, które wyprawiano na jego rachunek. Oby tylko groźny olbrzym nie wziął tego sztucznego wybuchu za prowokację i nie chciał zainscenizować prawdziwego wybuchu, który nie spotkałby się napewno z okrzykami zachwytu...

z. g.



Elektryczna kolejka, która wywozi turystów na sam wierzchołek Wezuwjusza. Ag. Fot. „Światowida"



Słup ognia nad Wezuwjuszem i strumienie lawy w czasie widowiska, inscenizowanego przez pułk włoskich saperów. Ag. Fot. „Światowida"

Ci, o których się mówi.



Na lewo: **CUDOWNIE URATOWANY JĘDRUŚ.** Bawiąc się nad brzegiem stawu w Czerniakowie w Warszawie mały Jędruś (na zdjęciu), syn pułk. Modelskiego wpadł do wody i zaczął tonąć. W tej chwili jednak konduktor tramwajowy p. Jan Strzelecki pospieszył mu na ratunek i uratował mu życie. Publiczność bohaterskiemu konduktorowi zgotowała owację.



HELJASZ BIJE REKORD ŚWIATA. Znany lekkoatleta poznański, Heljasz (na zdjęciu) ustanowił nowy rekord świata w rzucie kulą (16 m. 5 cm.), który dotąd należał do Niemca Hirschfelda i wynosił 16 m. 045 cm.



FALLENIUS GOŚCIEM ŁODZI. W tych dniach bawił w Łodzi znany przyjaciel Polski — Szwed, p. Karol Fallenius, który w sali Rady Miejskiej wygłosił interesujący odczyt o stosunkach polsko-szwedzkich. Na zdjęciu widzimy p. Falleniusa (x) w towarzystwie jego słuchaczy. Pierwszy od lewej siedzi p. Maks Kon, wicekonsul szwedzki w Łodzi.



O POMNIK DLA BOROWEGO. Piotr Borowy, zmarły ub. zimy, znany działacz podhalański, należał do wielkich patrjotów, którzy całe życie swoje poświęcili Polsce. To też Podhalanie postanowili uczcić go pomnikiem. Zostanie on wzniesiony na grobie śp. Borowego w Lipnicy na Orawie. Popiersie do tego pomnika wykonał znany artysta krakowski p. Hukan. Zdjęcie w kole przedstwia popiersie Borowego, na lewo artystę Hukana na tle alegorycznej figury, która będzie umieszczona na gmachu Akademji Górniczej w Krakowie.



Charles S. Devey, były doradca finansowy Polski, zajął obecnie w podobnym charakterze stanowisko wiceprezesa wielkich amerykańskich zakładów przemysłowych Colgate-Palmolive-Peet Company. Umieszczone obok zdjęcie przedstawia centralę tego towarzystwa w Chicago. Na fotografji, zdjętej w nocy, widać oświetlony rzęsiście budynek z lotniczym sygnałem świetlnym na dachu. Gabinet pana Dewey'a mieści się na 37-mem piętrze. Sygnał lotniczy, nazwany ku czci pułkownika Lindbergha sygnałem jego imienia, służy jako drogowskaz dla samolotów transkontynentalnych. Światło jego jest widoczne z odległości około 400 kilometrów.

›KSIĘŻNA ŁOWICKA‹
NOWY FILM POLSKI.

Godzina 9-ta rano zastaje wszystkich na miejscu obszernego atelier Falangi przy ul. Nowy Świat. Koło aparatów kręcą się pomocnicy operatora, czyszczą, smarują, przygotowują aparat, operator Gniazdowski konferuje z mechanikiem, przygotowują światła, reżyser Krawicz z Warneckim i Szebegą z kartkami scenarjusza obmyślają najbliższe zdjęcie. Na boku świetny charakteryzator Narkiewicz z pendzelkiem za uchem i puderniczką w ręku koryguje i poprawia swe arcydzieła Wszak to film stylowy, niema ani jednej współcześnie ubranej sylwetki. Wszystko kostjumy, peruki, temu trzeba dodać, tamtemu ująć, temu włosy poprawić. Na środku atelier ogromna budowla, wnętrze pamiętnej „Honoratki", miejsca zabaw studentów, a później zebrań spiskowców. Socha w mundurze podchorążaka, otoczony kilku wojskowymi, z boku Gruszczyński z gitarą. Ostatnie narady. Po chwili z kabiny dźwiękowej sygnały. Czas zaczynać.

Zaznaczyć należy, że „Księżna Łowicka" jest pierwszym naprawdę w stu procentach dźwiękowym filmem polskim, gdzie każdą scenę jednocześnie fotografuje się i udźwiękawia. Kosztuje to znacznie więcej pracy, ale za to cały czas trwania filmu będzie słychać żywe słowo, i to słowo wypowiadane przez niebyle jakich artystów. Smosarska, Węgrzyn, Jaracz, Socha — dodajmy do tego śpiew Gruszczyńskiego, który po raz pierwszy śpiewa w dźwiękowcu, i cały szereg mniejszych gwiazd, z których na pierwszy plan wybijają się dwie złote blondynki Zeliska i Nimirzanka, grające bardzo miłe role — to gwarancja, że będziemy znowu mieli film, który zapewne zdobędzie sobie duże uznanie.

Żeby zrozumieć cały ogrom pracy włożonej w te dwa i pół tysiąca metrów, jakie oglądamy w ciągu dwóch godzin na ekranie, trzeba koniecznie przyjrzeć się tej pracy.

Wszystko gotowe. Zaczynamy. Sygnały, kabina dźwiękowa gotowa do pracy, światła, ostatnie pouczenie reżysera, motor aparatu w ruchu, ostatni suchy trzask tabliczki z numerem, urwany sygnał z kabiny i...

— Wróć!...

Reżyser zrozpaczony. Motor aparatu źle nasmarowany, za głośno huczy. Główny aktor wpatrzony w objektyw. Przy drugiej próbie głosu, głos się załamuje, nie wychodzi czysto, za głośno lub za cicho, gwar przy stole za wielki, ktoś niepotrzebnie wlazł do klatki — słowem tysiące zmartwień, setki wad, które trzeba usunąć, film musi wyjść czysto i dobrze. Jedną scenę powtarza się więc nieraz cztery i pięć razy. Próba głosu wypadnie dobrze, to w czasie pierwszego zdjęcia aktor czegoś zapomniał, opuścił jakieś słowa, dodał coś, czy zaprędko powiedział — słowem trzeba szalonej wprost cierpliwości, żeby to wszystko przetrzymać i wszystkiemu zaradzić.

I tak dzień w dzień, przez szereg tygodni i miesięcy tworzy się powoli metr za metrem długa taśma, która później w ciągu dwóch godzin spotka się z przychylną krytyką, lub też zostanie niemiłosiernie ścięta, i cały trud, wszystkie wysiłki i tysiące złotych na marne.

Ponieważ, jak już zaznaczyliśmy, „Księżna Łowicka" jest filmem stylowym, opartym na ścisłych datach historycznych, asystuje przy zdjęciach kpt. Bartoszewski z Biura Historycznego z MSW., pod którego ścisłym kierunkiem przygotowuje się cały obraz. Ażeby wiernie odtworzyć postacie historyczne, sięgnięto po stare sztychy, wg. których mistrz Narkiewicz w misterny sposób ucharakteryzował i stworzył jak najwierniejsze kopje pierwowzorów. Poczynając więc od W. ks. Konstantego, którego doskonałą maskę stworzył Stefan Jaracz, poprzez Księżną Łowicką — Jadwigę Smosarską — skończywszy na Łukasińskim, jednym z ulubionych oficerów W. Ks. Konstantego, kreowanym przez genjalnego Węgrzyna, wszystkie postacie historyczne są odtworzone z najwierniejszą dokładnością.

Film kończy się wybuchem powstania styczniowego, a więc kilkaset metrów taśmy trzeba było nakręcić w Belwederze. I o ile wnętrza odtworzono w atelier również ściśle według istniejącego wzoru, o tyle zdjęć plenerowych dokonano na dziedzińcu belwederskim, przyczem w czasie dokonywania zdjęć zainteresował się niemi szczególnie dostojny gospodarz Belwederu Pan Marszałek Piłsudski, który niejedną chwilę spędził przy oknie, patrząc na wznawiany moment tragedji nocy styczniowej.

Niezmiernie interesująco przedstawia się składnica rekwizytów do tego filmu. O piętro wyżej mieszczą się garderoby. Tam na korytarzu zobaczyć można cały arsenał broni z okresu powstania styczniowego, długie szeregi butów, szable, mundury chorążackie, na boku znowu smakołyki, potrzebne na bufet „Honoratki", więc szynki, kiełbasy, ciasteczka, półgęski, rogale, pieczywo itd. Trudnoby wszystko wyliczać.

A w czasie przerwy, kiedy robi się przygotowania do innej sceny, artyści pomęczeni, sfatygowani, siadają sobie grupkami, konferują z reżyserem, poddają się korekcie Narkiewicza, lub poprostu gdzieś w kącie wypoczywają.

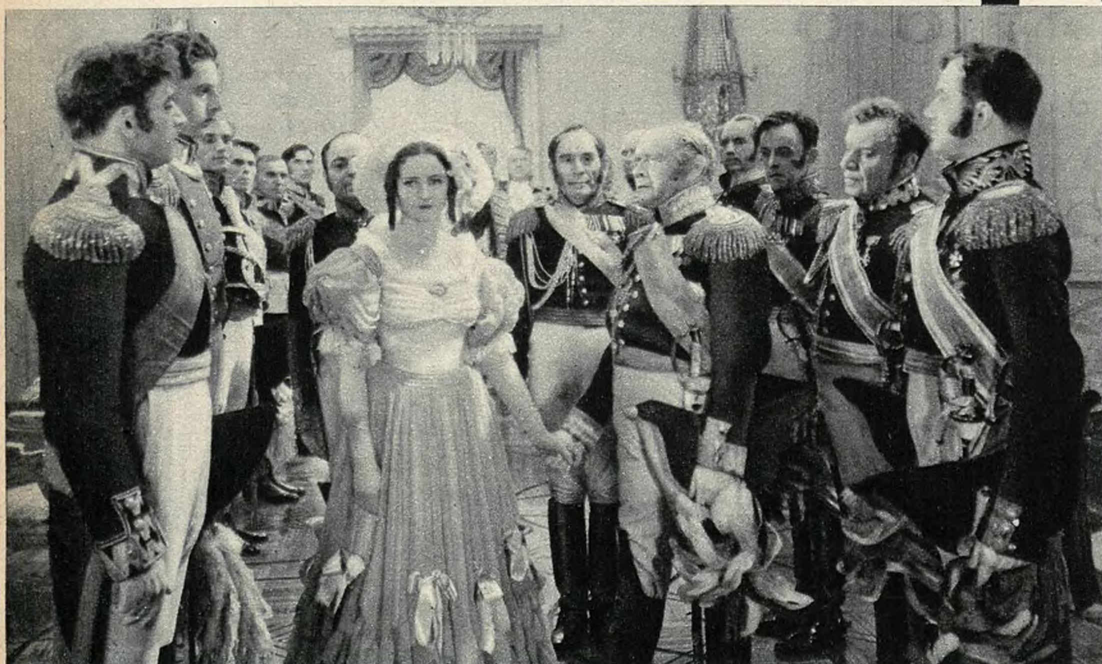
Godziny lecą, południe, wieczór, godzina ósma zastaje wszystkich jeszcze przy pracy. I tak codzień, przez szereg tygodni, miesięcy kręci się polski dźwiękowiec!

(B. Si.)



Węgrzyn w roli majora Łukasińskiego. który prawie przez pół wieku przesiedział we więzieniach rosyjskich, zakuty w kajdany.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWIDA".



Jedna ze scen zbiorowych filmu „Księżna Łowicka". Na pierwszym planie w pośrodku wielki książe Konstanty i Joanna.



Stanisław Jaracz jako w. książe Konstanty i Jadwiga Smosarska jako Joanna, wielka księżna łowicka.



Konferencja twórców dźwiękowca p. t. „Księżna Łowicka". — Na zdjęciu widzimy reżyserów Krawicza i Warneckiego, dyr. Szebego, oper. Gwiazdowskiego, kapit. Bartoszewskiego i art. Gruszczyńskiego i Sochę.

JEDZIEMY NA WAKACJE!

Można już nie być w czwartej klasie gimnazjalnej, a jednak nie zrywać ze słusznym światopoglądem, że — życie składa się z krótkich, miłych wakacyj, przeplatanych długiemi na nie wyczekiwaniami. Mimo bowiem słyszanych zewsząd i głoszonych przez wielu haseł i zasad o: radosnej twórczości, wyścigu pracy, entuzjazmie zawodu, zapale do dzieła etc., etc. — wszyscy bez wyjątku, czy to rabin, czy rachmistrz, kanonik i kanonier, magik i motocyklista, filozof i finansista — słowem wszyscy wakacje lubią i gdy tylko mogą, korzystają z nich.

Trzeba być naprawdę młodą szatynką „ze skończonemi studjami", aby np. rozkoszny pobyt na Gubałówce, zamienić na bębnienie na maszynie — uważając, że to jest najlepszy sposób przepędzenia lipca...

Metodyczne bowiem lenistwo w czasie wakacyj jest konieczną hygjeną, tak konieczną dla naszych indywidualności, jak np. mycie zębów, albo od czasu do czasu silniejsza dawka alkoholu dla zdrowych, normalnych mężczyzn. Gdyby wszystkie „Ochy i Achy!" panieńskie i kobiece, oraz zachwyty męskie, rymowane i prozą, jakie już z racji wakacyj wypisano, zebrać, to pas papieru na nie zużytego okrążyłby parokrotnie równik, będąc niezbitym dowodem, że ludzkość obok: dyktatury, kryzysu, parlamentaryzmu itp. potrzebuje także wakacyj, które są doniosłą instytucją dla sprawnego działania mechanizmu ludzkiego.

Młodzież najżywiej wita wakacje, bo nie zdążyła się jeszcze wciągnąć bez reszty w jarzmo życia i różnych t. zw. obowiązków. Ona też jedzie w zachwycie na łąki i letniska, a radość jej udziela się starszym, którzy udają... że ich to niby nic nie obchodzi.

Nieprawda! Obchodzi ich i to bardzo, bo każdy chętnieby, jeżeli nie do Biarritz, to przynajmniej do Kaczego Dołu, lub Okradzinowa pojechał — gdyby mógł. Idzie więc o to, aby przedewszystkiem każdy chciał i mógł.

Niestety — wskutek słabego obecnie naszego ruchu księgarskiego — nie wyszedł jeszcze podręcznik dla mniej uświadomionych — jak wakacje celowo i metodycznie spędzać. Wielu bowiem zabiera ze sobą z miasta, razem z frakiem itp. cały bagaż nieznośnego konwenansu miejskiego, zachowując się na letnisku jak dymisjonowany król lub cesarz i gwałtem chce imponować poczciwemu bacy i jego kierdelowi owiec.

Z plaż i rozkosznych basenów różnych zatok i zatoczek, porobiono niezupełnie potrzebnie nudne dancingi miejskie, gdzie czasem zamoczy sobie ktoś nogi po kolana, w ten sposób jedynie „używając morza".

Wy Szanowni Czytelnicy nasi, wiecie, co do was należy: wakacje — to przedewszystkiem zerwanie z codziennością miejską i jej dobrodziejstwem inwentarza jak komeraże familijne, towarzyskie i wszystkie nałogowe funkcje miejskie. Bądźmy na wakacjach jak te dzieci, przedewszystkiem cieszmy się niemi (wakacjami), wejdźmy w bliższy kontakt z przyrodą, nietylko pod postacią kiszonego ogórka lub też znudzonej panny Basi, wylegującej się na leżaku na Krupówkach.

Przyroda to jest np. deszcz bez parasola, to woda ze źródła pita wprost i przy pomocy rą, to wspinanie się po maliniakach lub grani bez pomocy lokaji, lub też mamy czy wujcia, to wreszcie czasem... niewyraźne samopoczucie po zjedzeniu niedojrzałych poziomek, to wkońcu wszystko, czego nie mamy w skanalizowanem, wyasfaltowanem, uregulowanem i aż do znudzenia ocembrowanem mieście. Tylko tak, zerwawszy z niem kompletnie, choćby na parę dni, możemy po niem wypocząć, odrodzić sobie wzrok, serce, optymizm i uśmiech.

Jedziemy na wakacje, życie jest piękne!

S. Now.



Autobus odjeżdżający z dworca krakowskiego do Krynicy.

Naładowana dorożka zajeżdża przed dworzec krakowski.

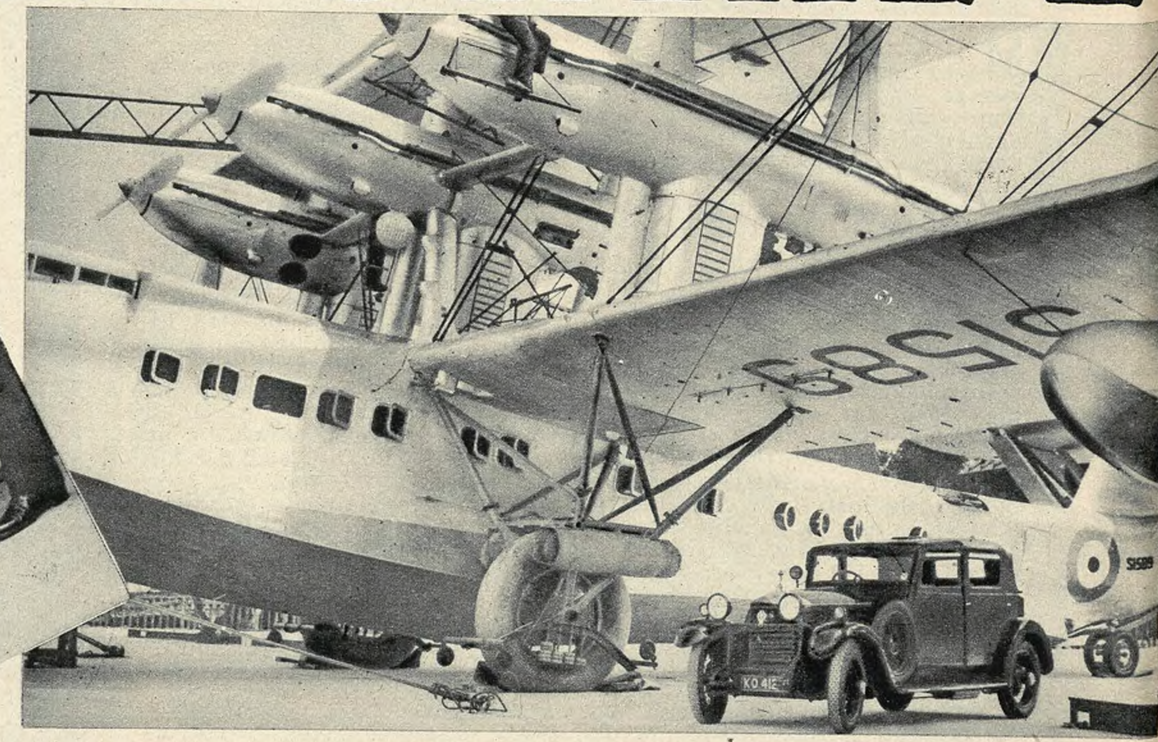
Dwaj gospodarze z pod Myślenic (woj. krakowskie) jadą do Krakowa po „państwo", którzy na letnisko wybrali sobie mało znany, ale piękny Pcim.

REPORTAŻ ZE ŚWIATA.



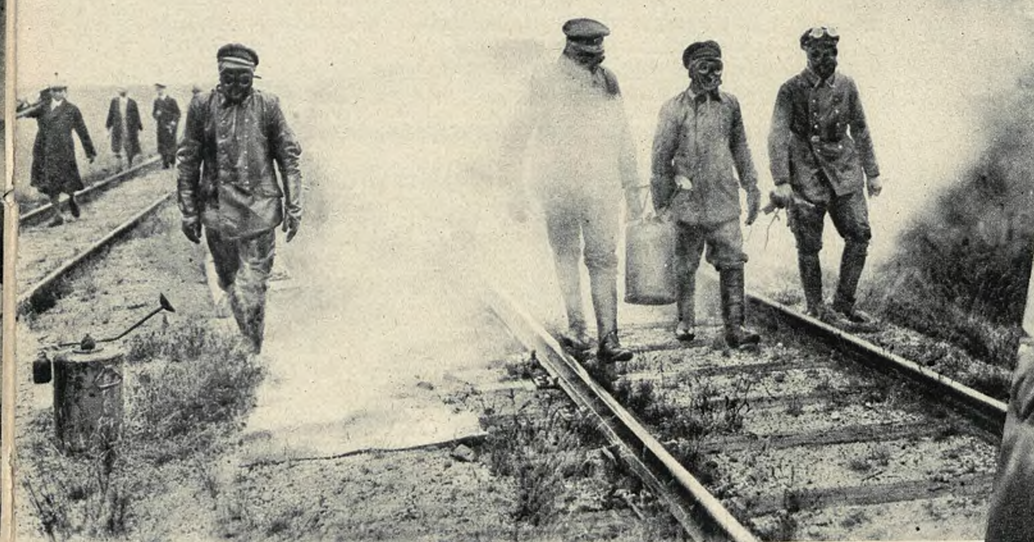
Poniżej: **WSPANIAŁE PRZYJĘCIE NA CZEŚĆ MISTRZA J. PADEREWSKIEGO W HOTELU ASTOR W N. JORKU.** Urządzone staraniem amerykańskiego „Komitetu dla Stosunków Międzynarodowych“, „Izby amerykańsko-polskiej“, oraz The Civic Forum, na którem mistrz wygłosił znane przemówienie w obronie praw Polski do Pomorza. Pod ścianą z prawej strony widzimy „stół honorowy“, za którym, według zwyczajów amerykańskich zajęły miejsca najwybitniejsze osobistości bankietu z mistrzem Paderewskim w pośrodku. Nad głową mistrza wisi jego portret, przybrany flagami amerykańskiemi i polskiemi.

REWOLUCJA W SJAMIE. Wybuchła ona z powodu trudności gospodarczych, w jakich znalazł się ten kraj, wskutek katastrofalnej zniżki cen ryżu. Hasło przewrotu wyszło ze sfer wojskowych. Wojsko bowiem od dłuższego czasu nie otrzymywało żołdu a urzędnicy pensyj. Zdjęcie przedstawia króla siamskiego Prajadhikopa i jego żonę w czasie uroczystości z okazji 150-lecia dynastji siamskiej. Przyjął on żądania rewolucjonistów, t. zn. obiecał podzielić się władzą z parlamentem.



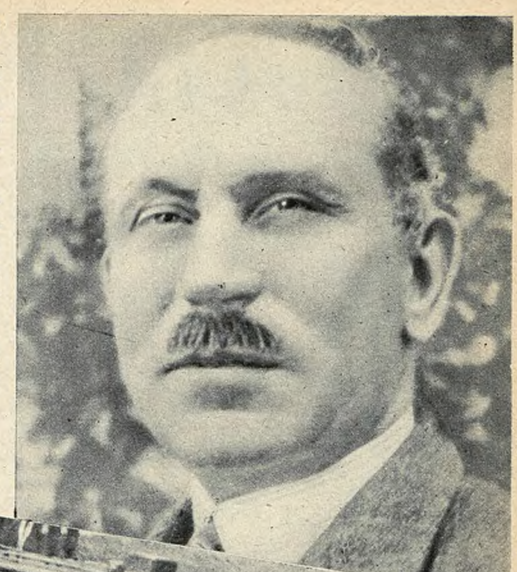
SKRZYDŁA ANGLJI. Anglja rozumiejąc, że bezpieczeństwo jej zależy nietylko od silnej floty morskiej, ale także i powietrznej, popiera bardzo energicznie rozwój lotnictwa, nie pozwalając się żadnemu innemu państwu wyprzedzić na tem polu. — Zdjęcie przedstawia nowy angielski hydroplan wojskowy, który w tych dniach rozpoczął służbę. Jest to największy olbrzym tego rodzaju na świecie. Zasiąg jego wynosi 2.000 km, a nośność 33 tony.

Keystone — Paris.



SZTUCZNA PANIKA W PRUSACH WSCHODNICH. Hitlerowcy niepokoją Prusy wschodnie ustawicznemi pogłoskami o rzekomo mającym nastąpić napadzie polskim lotniczo-gazowym na ten kraj. Pogłoski te mają na celu podsycanie nienawiści ku Polsce i trzymaniu ludności w stanie najwyższego zdenerwowania, aby tem łatwiej szła ona na lep agitacji hitlerowskiej. — Jednym z etapów tej przewrotnej agitacji były manewry lotnicze, które odbyły się w Prusach wschodnich od dnia 23—25 ub. m. Były one połączone z atakami bombowemi i gazowemi i pogotowiem ludności cywilnej. — Na fotografji tworzenie sztucznej mgły na ważnym punkcie kolejowym, dla obrony przed lotnikami.

Na prawo: **NOWY PREZYDENT SYNDYKATU PRASY SPORTOWEJ.** Został nim G. Drigny. Syndykat ten jest organizacją międzynarodową, obejmującą prawie wszystkie państwa z całego świata.



Poniżej: **KATASTROFA AUTOMOBILOWA W PARYŻU.** Na konkursie piękności samochodów, jaki urządzono w ubiegłym tygodniu w lasku Bulońskim w Paryżu, jedna z kierowczyń, wskutek zdenerwowania wjechała w tłum, zabijając dwie osoby i raniąc kilka. Na fotografji tłumy, oglądające miejsce wypadku.







PROMOCJA DOKTORSKA PRZYJACIELA POLSKI.



W tych dniach odbyła się we Lwowie na Uniwersytecie im. kr. Jana Kazimierza promocja doktorska p. Pawła Cazina, Francuza, szczerego przyjaciela Polski i tłumacza dzieł Sienkiewicza. P. Cazin promował się na podstawie pracy o biskupie Krasickim. Po złożeniu ślubowań nowy doktor Uniwersytetu lwowskiego wygłosił przemówienie w doskonałej polszczyźnie, w którem podkreślił, że za cel swojego życia obrał sobie zbliżenie kulturalne polsko-francuskie. Wdzięczny jest, że dźwigając już piąty krzyżyk, z rąk Polski otrzymuje najwyższy tytuł naukowy. Zdjęcie przedstawia p. Pawła Cazina w chwili promocji.

Z GAWĘD I OPOWIEŚCI. JAK GÓRALE TAŃCOWALI PRZED ORKANEM W SZAFLARACH.

Było to w sierpniu 1926 roku w Szaflarach na Podhalu. Odbywał się tam doroczny zjazd Podhalan na którym Orkan wygłosił płomienny referat o „Związku Ziem“, zakończony pamiętnym apelem do wszystkich ziem Rzeczypospolitej, by te wydobyły z siebie dumę przeszłości i przyoblekły się w swoistą, nakazem tradycji ustaloną, rodzimą barwę. Słowa jego, niby ogniste wici, padały w tysięczny tłum braci góralskiej, która w Orkanie widziała i wyczuwała swojego władnego Gazdę.

Pod wieczór uczestnicy zjazdu odjeżdżali do domów w różne Podhala strony. Orkan wieczornym pociągiem zamierzał „podjechać w górę“ — do Zakopanego. Przedtem jednak zaproszono nas do gościnnego domu p. Kamińskich, znanego sołtysiego rodu w Szaflarach.

Weszliśmy do jasnej izby, gdzie czekała już muzyka góralska, która odrazu przyjęła nas powitalnym marszem: „Hej Madziar!“... Za stołem na ławie siedział stary gazda Kamiński o siwych, długich włosach, a rzeźbione rysy jego twarzy i duma rasowa zdawały się być dostateczną legitymacją pochodzenia z sołtysiego rodu. Widać było, że to gazda z dziada pradziada, nie od dziś na sołtysostwie osiadły i tu statecznie gazdujący.

— Witojcie ku nom!

— Bóg zapłać, witajcie i wy!

— Niegze wom tyz, Panie, Bóg do zdrowie, zeście enami nie pogardzili; siednijcie!

— Dziękuję, kochani, zaraz, ale niechże jeszcze tej muzyki trochę...

Usiedliśmy na długiej ławie, zaś muzyka z powitalnego marsza przeszła na nuty wierchowe, kołyszące. Wnet weszli do izby synowie Kamińskiego dwaj młodzi gazdowie, z których jeden, Wojciech, jest dziś naczelnikiem gminy w Szaflarach. Powoli zeszła się gromadka gazdów — sąsiadów i gaździn, by choć przez chwilę pozostać w towarzystwie tak niezwykłego gościa.

Byli i młodsi, ba, całkiem młodzi, których zwabiła tam muzyka, ci jednak nieśmiało tłoczyli się w kącie izby, wyczekując, kiedy będzie można „nogi ozprościć“. Wiadomo bowiem, że — jak mówi Orkan — „wobec staroświeckiej nuty krew w Podhalaninie zaczyna się burzyć“. Inaczej na nutę reaguje młody, inaczej stary, zależnie zresztą od samej nuty, od jej tempa i treści, w każdym jednak coś się wówczas dzieje, coś, co można raczej wyczuciem, niż wyrozumieniem pojąć.

— No, chłopcy — zwracam się do onieśmielonych parobczaków — coz wy tak prózniujecie? Sto djasków-eście zjedli, ej zjedli, to dziewczętom się ocka do tońca śmiejom, a wy nic?

— Zeć onoby się ta i przytońcyło — przepowiedział któryś, a wszyscy spojrzeli po sobie i wzrokiem pytali jedni drugich, kto pierwszy.

Wnet wystąpił na środek jeden z młodych Szaflarzan, chłopiec smigły i słusznego wzrostu, rozejrzał się wokół, jakby sobie chciał tanecznicę wybrać, stanął przed muzyką i poprawiwszy kłabuček, zaśpiewał:

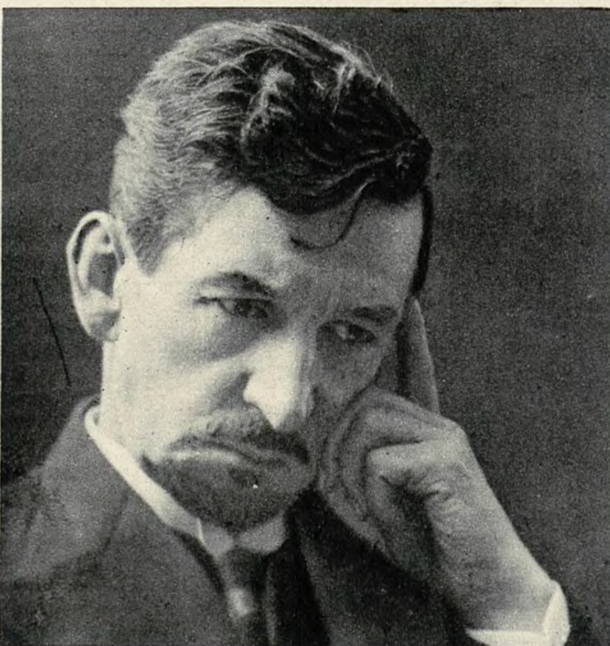
„Kiedyk sie spowiadoł, ksiądz mi napowiadoł,
Coby jo se śwarną dziewcyne wyhladoł“.

Ktoś mu tam wyzwyrtał tanecznicę, a on tupnąwszy w miejscu, w kilku błyskawicznych podskokach i w skrzyżowanych rzutach nóg uderzył lewą ręką w prawą piętę i odwrotnie, poczem puścił się dokoła zalotnemi półkolami za boczkującą zgrabnie tanecznicą. Nosił się dumnie, co chwila ręką kabłuk poprawiając, wiedział bowiem, że patrzy nań Orkan, który tak w muzyce, jak w tańcu, jak i we wszelakiej sztuce „babracy“ nie znosił.

— Ten sie nosi — zwrócił się do mnie Orkan, mierząc bystrem spojrzenim tańczącą parę i wsłuchując się w melodję gęśli — patrz, on cały blady, w zapamiętaniu tanecznem, jak głuszec podczas tokowania. Dał się wziąć „maturze“, upiększa zalotne ruchy, tokuje...

W tej chwili muzyka przycichła. Tanecznik stanął przed nią, nachylił się nieco do prymisty i zaś „krzesaną“ poddał nutę:

„Powiadali, powiadali,
Ze zbójnicka porubali.
Porubali bucka w lesie,
A zbójnicka wiater niesie“.



Władysław Orkan, niezapomniany piewca Podhala i twórca podhalańskiego ruchu regjonalnego.

Znowu podskoki i skrzyżowane rzuty nóg, następnie prawie w jednem miejscu błyskawiczne uderzanie pięty o piętę, przyczem nogi odgrywały zasadniczą rolę, tułów zaś cały zdawał się być jakoby w bezruchu. Widocznie jednak ta nuta widziała mu się w rozmachu tanecznym jeszcze za powolną. bo wnet zaśpiewał inną, ostrzejszą i bardziej wściekłą:

„Ej byłobyś, byłobyś,
Moje dziewce jako ryś...“

Tu już zaczął krzesać coraz zapamiętalej, namiętniej, klaszcząc w dłonie i od czasu do czasu wydając juhaski świst przez zęby.

Kiedy skończył taniec i muzykanci dla odpoczynku grać przestali, zaczęła się pogwarka na temat góralskiego tańca. Orkan ją zaczął od określenia „krzesanego“.

— Chodzi o to, aby na małej przestrzeni zmieścić możliwie największą ilość ruchów, przyczem nie cały korpus, ale głównie nogi powinny być w ruchu. Tańce bowiem góralskie wzięły początek od „dobrych chłopców“, którzy idąc „na ślebodę“ zatrzymali się w dalekich górach i tam na małej nieraz skale, w niedostępnem dla innych miejscu, dawali upust swojej energji i jurnej młodości. Jeden pewnie grał na staroświeckich gęślach („złóbcokach“), gdy inni tymczasem tańczyli...

Mówiąc o życiu zbójników, wspominał z uśmiechem o walkach, mających niejednokrotnie posmak homerycki, jakie staczały z sobą ustawicznie dwa plemiona myśliwskie: jedno z tej tu strony Tatr, drugie z tamtej strony — Luptacy. Jednym z bohaterów tych walk był przecie Sabała, o którym Orkan opowiedział wówczas zabawną historję.

Oto pewnego razu wybrał się Sabała, jako zapalony „robsic“ na polowanie. Głęboko w górach był, gdy zobaczył pasącego się capa, ale już po stronie luptowskiej. Myśliwski instynkt nie dał mu spokoju, strzelił więc i trafił. Nim jednak zdołał łup zabrać, ukazało się kilku Luptaków, zwabionych odgłosem strzału. Sabała nie czekał długo, zmierzył w ich stronę flintę, wypalił i puścił się ku „swojej stronie“.

— Pockoj, Jasiu, bo jo cie dońde!

Sabała wiedział, co to znaczy. Po chwili, kiedy się już czuł dość bezpiecznym, odwrócił się i widział, jak jeden z nich słaniał się ręką, bo proch z flinty Sabałowej „wyfuknął“ mu w oko. W parę dobrych lat później namówił Chałubiński Sabałę, by pojechał z nim do Kieżmarku na jarmark. Pojechali. Chałubiński poszedł załatwiać swoje sprawy, a Sabała został przy wozie. W pewnej chwili zjawia się koło niego gromada Luptaków, a między nimi jakiś o jednem oku. Sabała zmiertwiał, bo zmiarkował „niepeć“, ale wnet opamiętał się i udaje, że cały świat nic go nie obchodzi. Ci zaś przypatrują mu się to z tej, to z tamtej strony, wreszcie ten o jednem oku podchodzi bliżej i pyta:

— Tyś to Jasiu?

— O kogo sie niby pytocie?

— Dyć-eś to pono ty Sabała?

— Sabała? Nieg mu ta Bóg grzyhy odpuści, downo pomar. Powiadają, że jo niby do niego podobny, ale ka mi ta ku Sabale — był to cłek...

I tu Sabała zaczyna siebie-nieboszczyka wychwalać, ile tylko może. Luptacy spojrzeli po sobie: niby on, niby nie, niewiada, dyć to roki... Odeszli. Sabała z Chałubińskim wrócili szczęśliwie do Zakopanego, ale od tego czasu już nigdy do Kieżmarku na jarmark nie pojechał.

Do tego stopnia zasłuchaliśmy się wszyscy w tę Orkanową gawędę, że pociąg, którym mieliśmy odjechać przeszedł i musieliśmy w Szaflarach nocować.

KONKURSY HIPPICZNE W POZNANIU.

Pogoda piękna.

Jesteśmy na Błoniach grunwaldzkich w Poznaniu, na konkursach hippicznych.

Tam, gdzie są konkursy, muszą być i upadłośsi... hippiczne. „Jak to na konkursach ładnie, kiedy ułan z konia spadnie"!

Jedyne, mam wrażenie, konkursy bez komornika. I dlatego ludzie się zabawiają niefrasobliwie, nastrój doskonały, humory przednie. Wszystko za sprawą pogody. Piękna pogoda — piękna kasa. Jak widać, w dzisiejszych czasach jeszcze tylko wojskowym fortuna sprzyja.

— Wiadomo, rządy pułkowników — ktoś zgryźliwą rzuca uwagę. Ale mimo to przyszedł. I przyszło do Rodziny Wojskowej wiele, przewiele rodzin cywilnych. Jak Pan Bóg przykazał i jak pogoda zachęcała. Bo czy rodzina wojskowa, czy cywilna — wszystko to składa się w jedną familję polską, w której lubownictwo konia głęboko umocowane; w każdem włóknie rasy słowiańskiej, w sercu, we krwi! Tak było za pradziada, toż było za dziada, nieinaczej jest i... za Dziadka.

Patrzę na malca, siedzi taki brzdąc na kolanach u matki, objada się czekoladą, a mimo to wszystka jego uwaga skupiona na jeźdźcu i koniu:

— Mamusiu, tela Anitka jedzie, patrz, patrz — mamusia! — i oczy się chłopcu wyiskrzyły, jak u żbika. A nasze panie? Co za koneserki: ten bierze lekko przeszkodę, tamten ciężki, ów się wyłamał, a ten (ułan, nie koń) taki przystojny...

Hej, hej, ułani... Nie masz pana nad ułana. Czyliż tedy dziw, że panienek, ślicznych i miłych zebrały się na Błoniach Grunwaldzkich, tłumy, roześmiane, rozszczebiotane.

— Proszę patrzeć, jak on ślicznie wygląda? — mówi dziewczę jasnowłose.

— Koń, czy chłopiec?

— Pan zawsze jest taki, przecież mówię o koniu.

— A myślę?... — dopowiada uszczypliwie, przekomarzając się, wytworny cywil.

— Gniewam się na pana.

Ale groźna ta zapowiedź w niczem nie zdaje się zapowiadać zerwania związków wzajemnej sympatji, bo przystojna para zgodnie nadal obserwuje cwałujących jeźdźców na krwistych rumakach.

Oto sarniemi susy, w zdenerwowaniu choleryka, bierze przeszkody kary ogier, na owsie wykarmiony. Rwie wędzidło, pluje pianą, prycha nozdrzami, dzikim wzrokiem odległość mierzy. Zgrywa się.

— Hop, la!... Pomknął dalej, kopytami zwalając barjerę. Wystrachany, przed inną przeszkodą już zarył. Nie pójdzie. Krótka na trybunie fanfara. Wycofany.

Następny! Smukły gniadosz, z kokieteryjną strzałką na rozumnem czole. Bardziej opanowany, flegmatyk. Idzie wolno, ale pewnie.

Pod trybuną grupa oficerów doraźnie krytykuje jeźdźca, nie szczędząc mu ukłóć.

— Gazu, więcej gazu!

— Te, spiesz się, bo się spóźnisz na 9-tą do ka wiarni.

Ale wytrawny jeździec nie daje się zbić z tropu. W równem tempie mija oksery, triple-barry, herdy, i jak się tam w wojskowym żargonie zowią te różne żywo i martwo-płoty.

Koń przeszedł bez błędu. W nagrodę na trybunach ozwały się dyskretne oklaski. Na konkur sach hippicznych odmienny, aniżeli na wyścigach, rodzaj publiczności. Tu się nikt, a oprócz najbliższej rodziny jeźdźca i jego samego, nie emocjonuje. Konkursy hippiczne są wytwornym pokazem konia i dżentelmeńskiego jeźdźca. Niema hazardu totalizatora. W grę wchodzi czynnik ambicji, nie kieszeni. To też na zawody konne przybywają z zasady wielbiciele konia i wielbicielki... ułana. Słowem, znawcy. Stąd konkursy odbywają się w atmosferze spokojnej, statecznej.

Przygotowania do pokazu podoficerskiego. — Z trybuny donośny głos:

— Uwaga, panowie podoficerowie, gotowe wszystko? Strzelcy konni!

— Gotowe, panie poruczniku.

Sygnał. Zawodnicy wyruszają na koniach, wyekwipowani w hełmy z pióropuszami, zawoalowani grubą siatką misiurki. — Walka na rapiery.

Rzekłbyś, iż na majdanie w czas twardego średniowiecza, błędnych rycerzy zastęp orężny o uśmiech słodkiej bogdanki bój zapamiętały stoczy. Epoki minionej wspomnienie, a djalog w loży słychać zupełnie nowożytny:

— Mój drogi — wibruje w powietrzu głosik dźwięku srebra — mam dziś apetyt na dwie duże kawy i pięć ciastek z kremem.

— Zrujnujesz mnie — odpowiada czyjś baryton z udaną obawą.

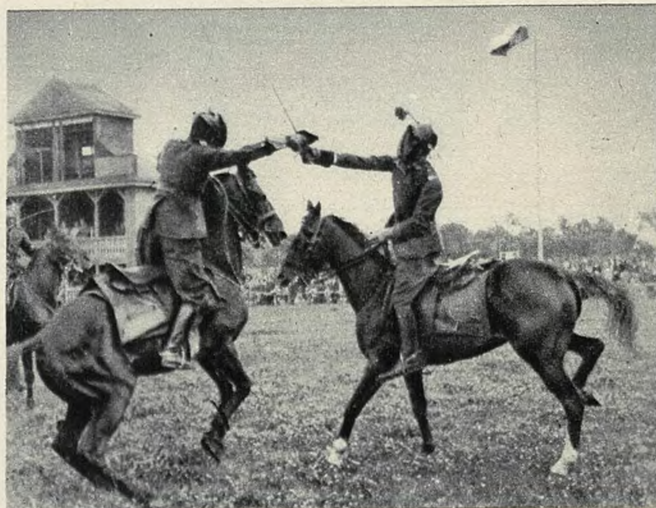
— Jak mi żałujesz to możesz odciągnąć z mego posagu.

Sosjeta się bawi, śmieje; dowcipy padają jak petardy, tak gęsto i często, jak spadają właśnie z koni jeźdźcy, raz po raz rapierami ugodzeni.

— Dosyć! — rozlega się komenda. Trąbka obwieściła rozejm. Wśród zwyciężonych nie widać zwycięzców; każdemu się dostało, ile wlazło. Teraz czekają wszyscy z zaciekawieniem na inną atrakcję. Konkurs dla pań „Rodziny Wojskowej"; 4—6 przeszkód około 90 cm. wysokości i 2 m. szerokości. Tempo 300 m. Rozgrywka na 2 przeszkodach, szybkość rozgrywki = 320 m. 3 nagrody honorowe. Niestety, między paniami do rozgrywki nie doszło, przez co publiczność pozbawiona była rozrywki. W całym składanym programie konkursów hippicznych na Błoniach zawiodły więc panie z przyczyn piszącemu bliżej nieznanych. Szkoda. Jednakże trzeba być wyrozumiałym, podobne mankamenty mogą się zdarzyć w każdej rodzinie, nie tylko wojskowej.

Naogół na Błoniach Grunwaldzkich było pięknie, czarująco, marząco, zachwycająco, powabnie; oprócz pań zawodniczek, co się zresztą samą już nazwą usprawiedliwia, nikt nikomu zawodu nie sprawił. Serduszka też się nie zawiodły, bo każdy ułan był w dobrej formie i strojnym uniformie, a całość wypadła zgodnie z treścią ułańskiego szlagiera: „Jak to na konkursach ładnie kiedy ułan z konia spadnie; koledzy go nie żałują, jeszcze mocno przygadują!"

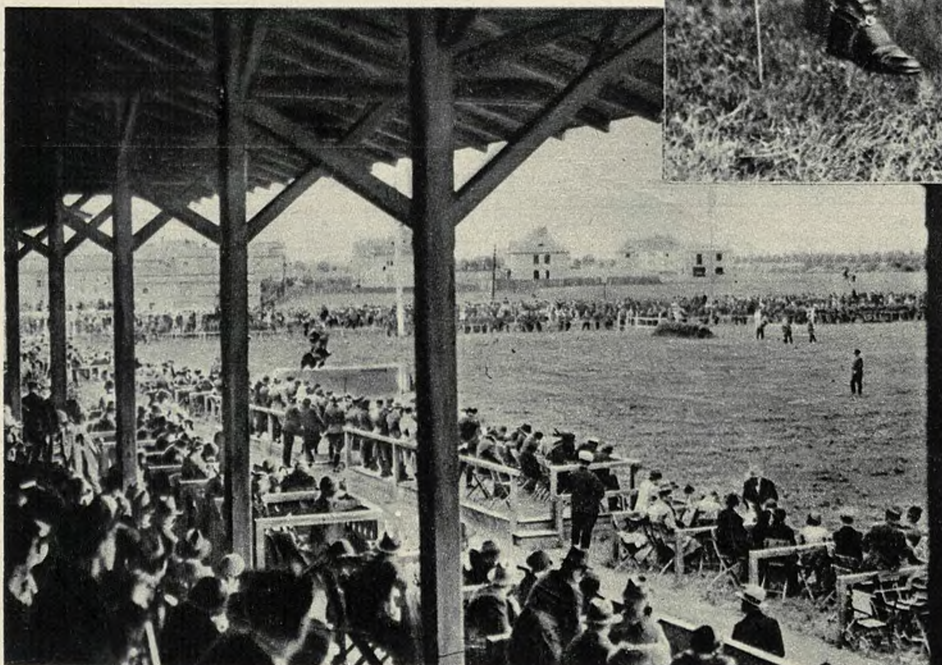
Leon Sobociński (Poznań).



Konkurs szermierki konnej dla podoficerów.



W ubiegłą niedzielę odbyły się na hipodromie w Poznaniu konkursy hippiczne, zorganizowane przez Rodzinę Wojskową. Na zdjęciu oficerowie, którzy brali udział w tych konkursach.



Na lewo: Ogólny widok na hipodrom z trybuny głównej.



W kole: Efektowny skok znanego olimpijczyka por. Nehrlicha-Dąbskiego z 7. D. A. K.

HEJNAŁ Z WIEŻY MARJACKIEJ.



Ulica Florjańska i kościół Marjacki, widziane z Bramy Florjańskiej.

Obok: Strażnik, grający hejnał na wieży Marjackiej.

Na prawo: Widok na prezbiterjum i wieże kościoła Marjackiego w Krakowie.

Poniżej: Ogólny widok Krakowa z wieży Marjackiej. Na pierwszym planie Sukiennice i wieża Ratuszowa. Na horyzoncie Kopiec Kościuszki.

Co godzina z pod szczytu Wieży Marjackiej w Krakowie rozlegają się srebrne dźwięki strażackiej trąbki — hejnał. Ta melodja, najściślej zespolona z najstarszemi tradycjami i historją Krakowa, jest wyrazem Krakowa i jedną z jego najintegralniejszych części, które tworzą obraz naszego miasta dla całej Rzeczpospolitej .

W obrazie tym hejnał odgrywa poważną rolę. Jego melodją, tak prostą, a tak piękną, głosi się nasze miasto wszędzie, gdzie docierają radjowe fale. Jak miło i jak tęsknie usłyszeć tę melodję nagle w jakimś głośniku w obcem mieście. Wtedy na drżeniach tej dalekiej trąbki, nasiąkłych odległością, zarysowuje się cały Kraków...

Jak podaje historja Krakowa poraz pierwszy zabrzmiał hejnał — taki, jakim go i dzisiaj słyszymy— lat temu 540, a więc w roku 1392. Miał on wielkie znaczenie, gdyż zawiadamiał ludność Krakowa, jakże blisko wtedy skupioną dokoła Rynku, o wszelkiem niebezpieczeństwie, które strażnik, zwany wtedy heroldem z Wieży Marjackiej, dostrzegał pierwszy, mając daleki, wielokilometrowy krąg widzenia z wysokości ponad 60 metrów nad poziomem Krakowa. Pożar, powódź, czy zbliżanie się wroga oznajmiały dźwięki trąbki z pod szczytu wieży. Grała ona na alarm, gdy zbliżały się szeregi cesarza Maksymiljana, gdy szła czarna nawałnica Szwedów, gdy o słabe piersi konfederatów waliły fale rosyjskiej lawiny, gdy po kościuszkowskich walkach krwawe orły wroga nadchodziły pod Kraków, gdy oblegali miasto Austrjacy, zarzucając je kulami z dział, gdy w pierwszych szeregach Wielkiej Wojny znowu dzika lawina ze Wschodu zaciemniała horyzont.

Dźwięczał hejnał przez ciąg stuleci melodją, stojącą na straży bezpieczeństwa mieszkańców nadwiślańskiej stolicy polskiej. Arja jego urywa się nagle, nie kończy się łagodnie i spokojnie i chce legenda, że raz strzała,czy kula wroga, napadającego Kraków, przerwała tak właśnie hejnał, zabijając trębacza. Podanie ludowe odnosi to w odległość dawnych stuleci, ale jeśli taką wersję mamy przyjąć, to umiejscowić ją trzeba dopiero na roku 1848. Wtedy to bowiem, podczas ostrzeliwania Krakowa przez Austrjaków, kilka z kul działowych uderzyło w Wieżę Marjacką, przedziurawiając dach i rozbijając okienka.

Przez tych 540 lat hejnał umilka tylko na lat kilkanaście, pod koniec XVIII wieku, w czasie zamieszek wojennych. Wznowiony w 1810 roku dźwięczy znów nieprzerwanie, kończąc w roku bieżącym 540 lat swego trwania.

Rozlega się on z czterech okienek, umieszczonych tuż pod odachowaniem wieży. Izdebka strażnika jest mała i surowa i całe jej umeblowanie tworzy tapczan i krzesło. Dochodzi się do niej dość żmudną drogą po 230 schodach. Dyżur trwa na niej nieprzerwanie dzień i noc.

Załoga „hejnalistów" składa się z czterech strażaków, odbywających służbę po dwu, co 24 godziny. W ramach doby dwu strażaków zmienia się co sześć godzin. Tak więc każdy strażak z Wieży Marjackiej odbywa swą służbę przez sześć godzin dnia i sześć godzin nocy i następnie ma dzień i noc wolną.

I dzisiaj także strażak, poza wygrywaniem hejnału i wydzwanianiem godzin, ma na celu i „straż". Czuwa on nad bezpieczeństwem Krakowa tak samo w XX wieku, jak czuwał w XIV. Alarmuje centralę pożarniczą, gdy zauważy pożar, lub podejrzany dym, który mógłby być niedostrzeżony przed zamienieniem się w pożerający płomień. Donosi on także o zbliżających się wielkich burzach itp.

Z izdebki strażaka roztacza się piękny widok. W pogodny dzień widać Tatry, Pieniny, Ojców — całą obręcz wsi i miasteczek, okalających Kraków.

Gdy nocną porą wracamy przez śpiący i jakże piękny w ciszy nocy Rynek, spoglądamy zawsze ku górze. Tam, na wysokości 60 metrów, płonie delikatne światełko. To czuwa strażak na wieży, by co godzinę ujmować w dłonie linę, połączoną z sercem dzwonu niższej wieży i wybić godzinę i odegrać cztery razy pieśń średniowiecza i pieśń dnia dzisiejszego — hejnał krakowski.

W dzisiejszych czasach, tak ciężkich, trudno myśleć o czemś innem, co bezpośrednio nie jest złączone z najbliższemi wymogami życia. Ale jednak — mimo wszystko — te 540 lat hejnału mówi do nas silnie i na tyle wybitnie odcina się co godzinę w naszej świadomości, że może wypadałoby się zastanowić nad uczczeniem tej rocznicy hejnału, nad jubileuszem hejnału i poczty strażackiej na Marjackiej Wieży?

(zech).

SKARBY Z ZATOPIONEGO OKRĘTU.

W tych dniach nurkom włoskim ze statku „Artiglio II“ udało się po trzechletnich wysiłkach wydobyć na wodach bretońskich, na wysokości Brestu, złoty skarb z zatopionego w 1921 r. parowca angielskiego „Egypt“. Pierwsza próba rozpoczęta w 1929 r. skończyła się katastrofą statku, który zatonął wraz z załogą.

Załogę „Artiglio I“ stanowiło grono znakomitych nurków liguryjskich, przeważnie pochodzących ze Spezii, największego portu wojennego Włoch. Szefem nurków był *Alberto Gianni*. Przez parę miesięcy sondował „Artiglio“ okoliczne wody pobrzeża bretońskiego celem ustalenia pozycji zatopionego kadłuba. Przy pomocy drugiego statku *„Rostro“* zapuszczano długie liny w ocean, zaopatrzone w kable i boje i całemi godzinami wleczono je rozpostarte po wodzie. Nareszcie po żmudnych poszukiwaniach w pewnem miejscu kabel wyprężył się; *lina zahaczyła w dole o szczątki „Egyptu“*. Parowiec leżał w głębokości *120 metrów* pod powierzchnią wody. Zaczęła się uparta, ciągła walka z żywiołem. Morze było burzliwe i nie pozwalało nurkom na zejście do kadłuba. Po paru tygodniach nurek *Bargellini* dotarł do pokładu „Egyptu“ i założył parę min. Zrobiono prowizoryczne dojście do kabin. Niestety zbliżała się jesień, pora burz i wichrów na Atlantyku. „Artiglio“ musiał wrócić do portu macierzystego w *Spezii*. Po drodze jednak przejął zamówienie z komendy portu w *S. Nazaire* na rozsadzenie szczątków zatopionego podczas wielkiej wojny parowca amerykańskiego *„Florence“*, który zagradzał okrętom drogę do zatoki Quiberon. „Florence“ wyleciał w powietrze z ładunkiem amunicji w roku 1917.

W ciągu dwóch miesięcy złożono we wnętrzu okrętu ogółem blisko *dwie tonny bomb* — jednak bez skutku. Bomby wybuchały, ale amunicja na „Florence“ po 13 latach moknięcia w wodzie straciła widocznie siłę eksplozywną.

W pewną niedzielę grudniową po raz ostatni Bargellini zstąpił wdół i umieścił sześć min w kadłubie „Florence“. Tym razem napewno po raz ostatni: „Artiglio“ był już zdecydowany na odjazd do Spezii.

Dzień był pogodny; marynarze w oczekiwaniu powrotu do ojczyzny i rodzin śpiewali wesołe piosenki. Jeszcze tylko ta jedna próba, ten jeden wysiłek — i już pożeglują ku ojczystym brzegom. Już wnet uśmiechnie się do nich w aureoli zasłużonego spoczynku wielkie święto Bożego Narodzenia. Błękitna Italja wyciąga ramiona ku swoim synom, spracowanym w tej uciążliwej mordędze na burzliwych atlantyckich głębiach. W te ostatnie noce usypiają z ojczyzną na oczach. Przyjadą tu na przyszły rok, na wiosnę...

Wizję ojczyzny przerywa trzykrotne *szarpnięcie linką*. Z głębokości 120 metrów trzeba windować Bargelliniego w górę. Na spienionem morzu ukazuje się piana i bańki powietrzne od wyciąganego dzwonu nurkowego. Za chwilę „Artiglio“ z powiewającym „tricolorem“ włoskim na maszcie *odjeżdża,* ciągnąc za sobą długi drut elektryczny łączący go z potężnym ładunkiem dynamitu we wnętrzu podmorskiego olbrzyma. Przez ten drut ma być puszczony prąd o wysokiem napięciu celem wywołania eksplozji w podwodnym kadłubie.

Na pokładzie w sali maszyn, przy kotłach marynarze ciągle śpiewali piosenki i myśleli o matkach, żonach i narzeczonych, które niebawem mieli zobaczyć — a tylko jeden Gianni skupiony, uważny stał pod mostkiem kapitańskim, trzymając w rękach dwa końce drutów elektrycznych: *jeden,* idący od bomb, złożonych na dnie morza, drugi, łączący się z maszyną dynamo. Trzymał w rękach los swój i towarzyszy. Przez chwilę życie i śmierć były odległe od siebie o 15 centymetrów, potem o 10, potem o 5. Kiedy statek znalazł się w odległości *300 metrów* od podwodnych szczątków parowca, Bargellini, oparty o burtę rzucił sygnał:

— *Pronto!* (Gotowe).

I Gianni skrzyżował ręce, powodując kontakt drutów.

Wtedy „Artiglio“ w środku olbrzymiego krateru, powstałego przez wybuch całej amunicji z „Florence“ — napełnił się w okamgnieniu wodą i *prostopadle jak kamień zatonął*. Potworna przepaść w formie głębokiego leju, która wytworzyła się na miejscu wybuchu, wchłonęła w paru sekundach marny stateczek, ślizgający się na falach.

Tak „Artiglio“ znalazł chłodną śmierć w grobie wodnym, wykopanym przez siebie. *Nie ocalał z tej katastrofy nikt.*

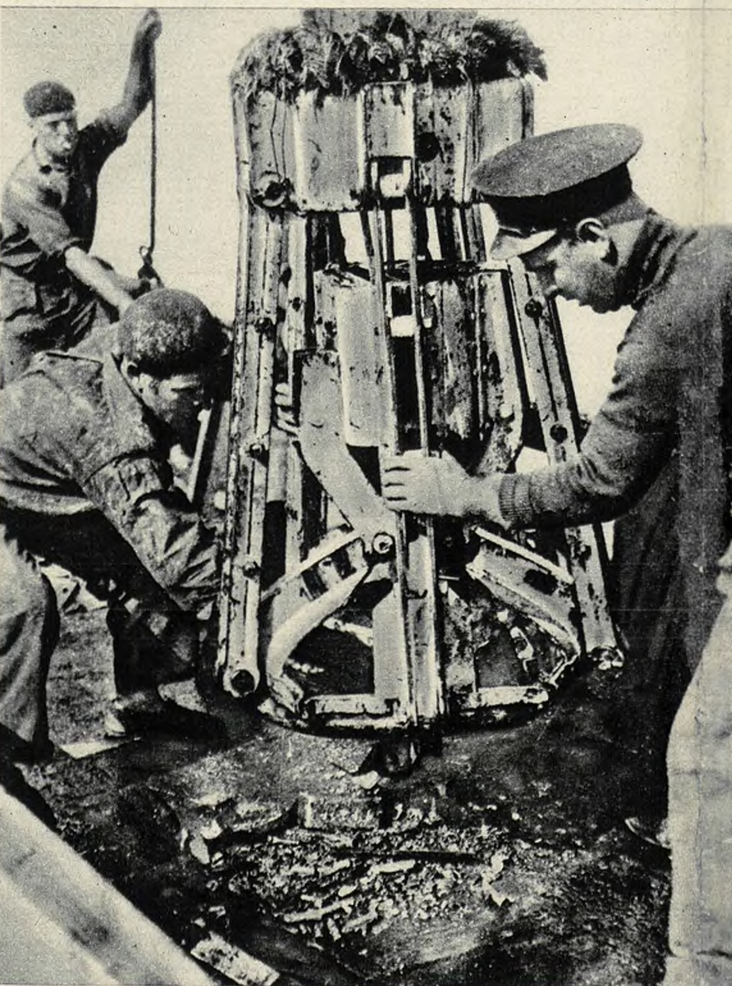
Ale wola ludzka jest niezwyciężona. Już na drugi rok, t. j. w r. 1931 skompletowano nową brygadę nurków wśród śmiałych marynarzy liguryjskich z *M. Raffaelim na czele* — i na nowym statku, ochrzczonym *„Artiglio II“* wyruszono na Atlantyk. Wysiłki ich zostały jednak na trzeci rok ukoronowane sukcesem.

Podczas pobytu w Spezii, jedynem mieście, któremu dodaje się na początku rodzajnik (La Spezia) — chodziłem często i oglądałem ciężkie życie tamtejszych ludzi morza. I między tą spracowaną od wieczora do świtu armją marynarzy i rybaków poznałem 26-letniego chłopca Bargelliniego z Portovecchio, od niedawna żonatego, prostego i przemiłego w obejściu człowieka. Za parę dni „Artiglio“ miał wychodzić na morze, na spieniony Atlantyk. Obok dwóch olbrzymów, Gianniego i Franceschiego stoi Bargellini i chwyta czujnem okiem ruchy morza i kolor horyzontu. Pogoda ustala się. Rybacy ze Spezii, Lerici, Portovenere, Vernazzy patrzą z nabożeństwem na jednego z najlepszych nurków świata. A on, siłacz o gołębiem sercu, do niedawna jeszcze — jak mu docinali koledzy — w dzień zajęty był wespół z młodziutką żoną praniem swoich koszul i łataniem sieci, a nocą wyruszał w wątłej barce na łowy w to miejsce, gdzie według opowiadań utonął przed wielu laty pochłonięty przez wielką falę poeta angielski *Shelley*.

W tych stronach pokazują jeszcze dziś grotę *Byrona,* z której autor *„Child Harolda“* patrzył melancholijnie na horyzont, zlewający w sobie granice Zatoki Genueńskiej i morza Liguryjskiego. Tak pokutuje na tych wodach bezwiedny romantyzm, ucieleśniony i w tym marynarzu, którego zdala od żony i nowonarodzonego dziecka pożarły wiecznie burzliwe fale bretońskiego Atlantyku.

Pewnie — że jest w tym upojonym siłą człowieku urok zwycięskiego junactwa, pasja brawury — ale pomyślcie, że ów młody rybak chciał posiąść jakąś cząstkę z tych paru tysięcy kilogramów złota, leżących w kabinie pancernej w głębokości 120 metrów pod zwierciadłem wody. Życie nauczyło Bargelliniego szukać utrzymania w wodzie i w niej znalazł on swoją śmierć. Kiedy następcy jego z Rafaelim na czele otrzymają od kapitana *Quaglia,* dowódcy „Artiglio II — należne im sumy za wydobycie podmorskich skarbów — może zapalą wtedy świece przed Madonną w kościółku w Portovecchio i pomodlą się za dusze Bargelliniego i towarzyszy, pochłoniętych przez głębiny wodne.

Jalu Kurek.



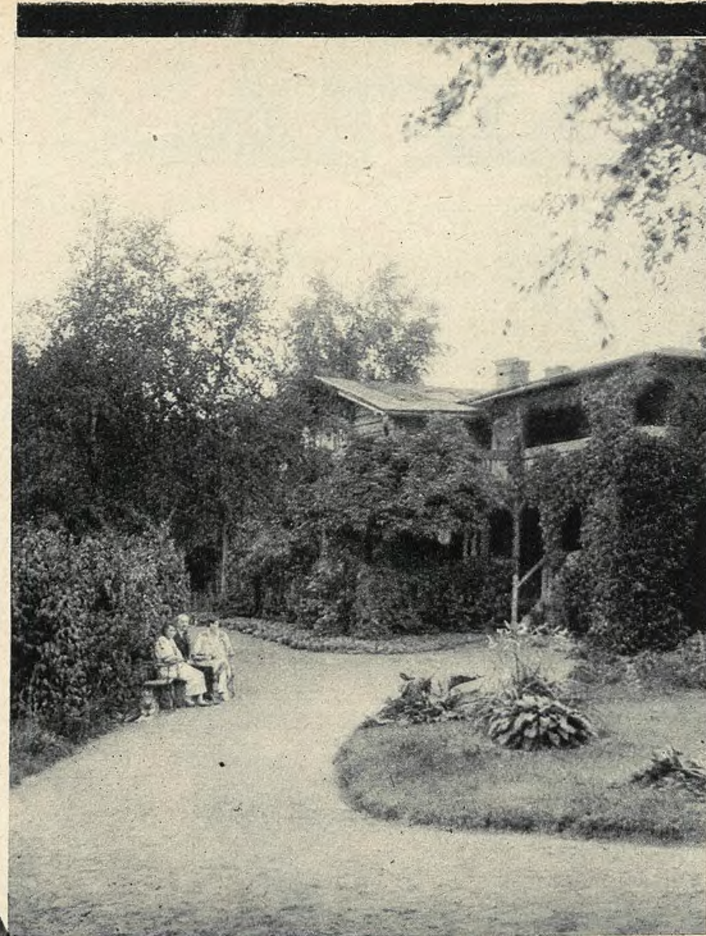
Złoto wydobyte (na fotografji) z „Egiptu“, obłożyły sekwestrem władze angielskie w Plymouth, dla zabezpieczenia pretensji kilku osób. Wedle prawa morskiego załodze „Artiglio“ przypadnie tytułem premji 50 wartości wydobytego złota.

Na prawo: Przed dziesięciu laty w maju, okręt angielski „Egipt“, wiozący olbrzymi ładunek złota i srebra do Indyj, wartości 250 miljonów złotych, zatonął u wybrzeży bretońskich, wskutek zderzenia z pewnym francuskim okrętem handlowym. Przed trzema laty statek włoski „Artiglio I“ (na zdjęciu), podjął próby wydobycia z głębin zatopionego złota, uległ jednak katastrofie, wskutek eksplozji.



Skafander, używany przez nurków na statku „Artiglio II“. Pozwala on na zanurzanie się do głębokości 150 metrów.

MUZEUM KASZUBSKIE WE WDZYDZACH PADŁO OFIARĄ POŻARU.



Dom ś. p. Izydora Gulgowskiego we Wdzydzach, założyciela muzeum kaszubskiego.



W kole: Kaszuba w starodawnym stroju, złożonym z mucy (czapki) i granatowego płaszcza z peleryną. W ręku trzyma on krzywulę, znak władzy wójtowskiej.

Przed trzema tygodniami gwałtowny pożar zniszczył nieoczekiwanie muzeum kaszubskie we Wdzydzach na Pomorzu. Zostało ono założone w 1905 r. przez nauczyciela śp. dra Izydora Gulgowskiego, który przez szereg lat przebiegając Kaszuby wszerz i wzdłuż zbierał zabytki sztuki ludowej, kolekcjonował je i opracowywał naukowo. Pod koniec życia śp. Gulgowskiego zbiór ten obejmował już 123 eksponatów, bezcennej wprost wartości tak artystycznej, jak i kulturalnej. Przed pięcioma laty zaraz po śmierci śp. Gulgowskiego Departament Sztuki wystąpił z wnioskiem o zakupno tego muzeum za 10.000 zł., co też zostało uskutecznione.

Osobliwie wyglądało to muzeum we Wdzydzach! Nie widziało się w niem, ani gablotek, ani sal, ale wszystkie jego eksponaty, z których przeważna część należała do sprzętów wiejskich, mieściły się w starej kaszubskiej chacie podcieniowej, tak, że odnosiło się wrażenie, że jest to dom zamieszkały. Brakowało tylko gospodarza.

Wśród okazów wdzydzkich największą wartość posiadał stary zabytkowy piec. Śp. Gulgowski nie miał dość słów zachwytu nad tym unikatem, jaki zachował się tylko w jednym egzemplarzu na Pomorzu.

Do bardzo cennych należała także kolekcja obrazków malowanych na szkle. Tego rodzaju obrazki najpospolitsze są na Polesiu, na Spiszu i na Orawie. Malowali je wędrowni artyści. Największa ich ilość pochodzi z XVIII wieku. Jest to niepowetowana szkoda, że obrazki wdzydzkie spłonęły, ponieważ stanowiły one ostatnie tego rodzaju zabytki na Kaszubach.

Ludność ubogich Kaszub zajmuje się od wieków wyplataniem naczyń z korzenia sosnowego i hafciarstwem. Ten przemysł ludowy dzisiaj podupadł wskutek konkurencji fabrycznej. Muzeum w Wdzydzach posiadało bardzo bogaty zbiór tego rodzaju eksponatów. Szczególne zainteresowanie budziły dzbany z korzenia sosnowego, tak misternie plecione i tak kunsztownie zalewane żywicą, że kropla wody z nich nie wyciekła.

Ornamenty kaszubskie dochowały się na wspomnianych już obrazkach malowanych na szkle i w hafciarstwie. Najpospolitszym wśród nich motywem są róże, mocno stylizowane.

Stroje ludowe na Kaszubach zaginęły już zupełnie. To też z trudem udało się śp. Gulgowskiemu wyszukać jeszcze kilka starych płaszczy foluszowych, jakie w dawnych czasach noszono. Były one granatowego koloru. Głowy nakrywali Kaszubi „mucą", czyli czapką, o zawijanych bokach, które w czasie zimna można było spuścić na uszy.

Kobiety nosiły barwne czepce i kiecki.

Z prawdziwem wzruszeniem brało się w muzeum kaszubskiem do ręki laskę krzywulę. Była ona bowiem symbolem władzy wójtowskiej. Wójt, wydając jakieś polecenie posyłał z nią gońca od domu do domu. Goniec zaś ten legitymował się tą laską, niby pieczęcią.

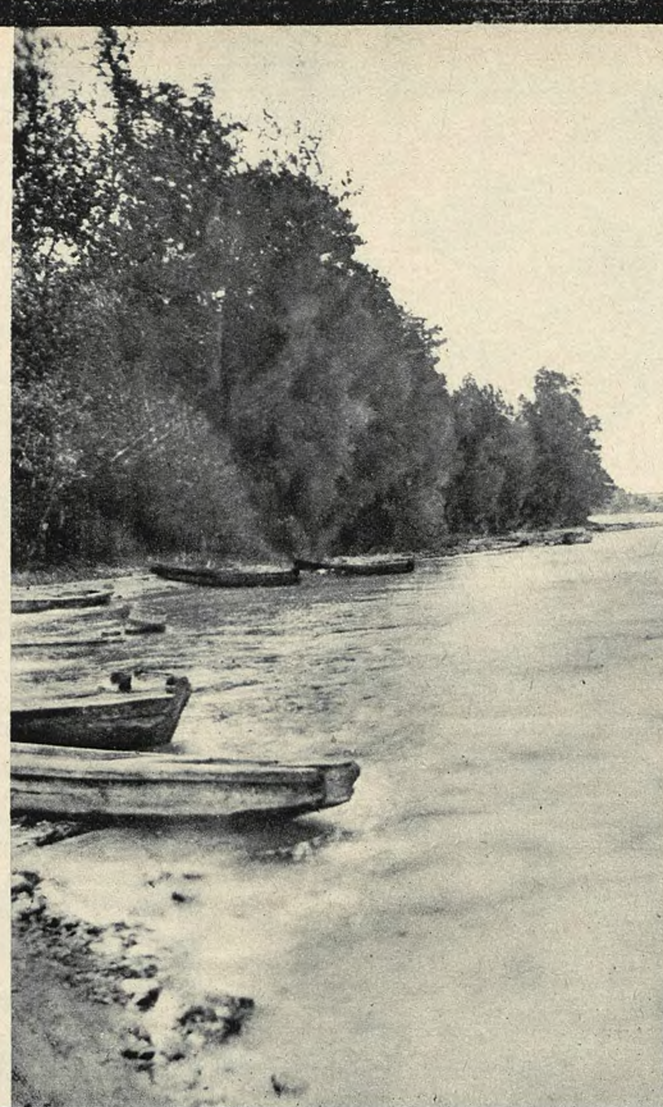
Zwyczaj to stary odwieczny, sięgający piastowskich czasów.

Ze szczególnem zamiłowaniem kolekcjonował śp. Gulgowski także wszystko to, co odnosi się do rybołóstwa. Wdzydze bowiem leżą nad jeziorem tej samej nazwy. Obejmuje ono obszar kilkunastu hektarów i jest nadzwyczaj rybne Trafiają się w niem szczupaki, sandacze, pstrągi, karasie, a przedewszystkiem sielawy. To jezioro żywiło od wieków mieszkańców Wdzydz, z których też każdy jest zawodowym rybakiem. Na łowy wyjeżdżali Kaszubi wieczorami a — wracali nad ranem. Wyjeżdżali na łodziach bardzo prymitywnych, bo drążonych w pniu. Cała flotylla takich łodzi spłonęła niestety w czasie ostatniego pożaru.

Jeżeli żałować wypada zniszczonych eksponatów, to jeszcze większa szkoda samej chaty, w ktirej mieściło się muzeum. Pochodziła ona z końca XVIII-go wieku i była arcydziełem sztuki ciesielskiej. Zbudowano ją bez użycia jednego gwaździa. Należała ona do typów podcieniowych i składała się z przedsionka, izby i komory.

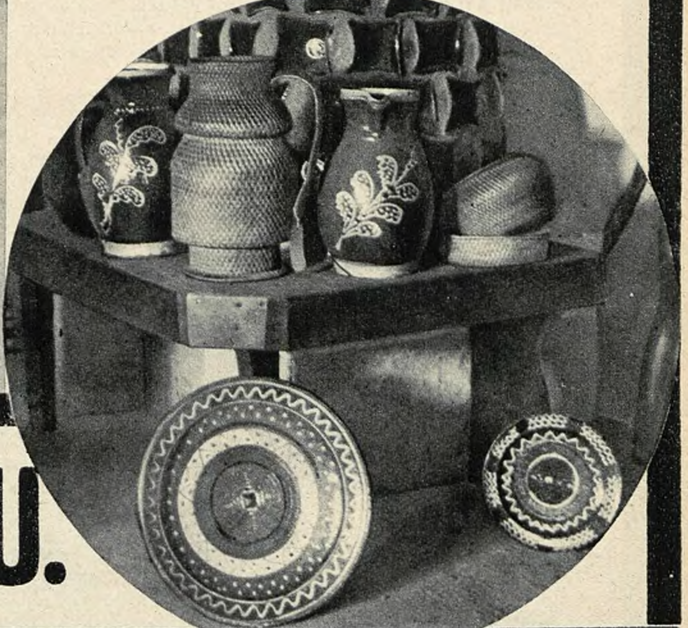
O te wszystkie bezcenne zabytki, które wyliczyliśmy powyżej, została kultura polska pomniejszona. Stało się to dzięki żywiołowej katastrofie. Teraz trzeba będzie z pojedynczych fotografij zrekonstruować całe muzeum i wydać odpowiednią monografję. Całe szczęście, że podobno uczenice profesora Frankowskiego z Warszawy zainwentaryzowały dokładnie to muzeum. Materjału więc nie braknie.

Kum.



Obok: Jezioro Wdzydzkie, należy do największych w Polsce

W kole: Fragment wnętrza spalonego muzeum we Wdzydzach. W tyle widoczny zabytkowy piec. Na pierwszym planie okazy ceramiki i dzban pleciony z korzeni sosnowych. Przy ścianie turoń.





Obok: Podcieniowa chata, w której mieściło się muzeum kaszubskie we Wdzydzach.



Ceramika i hafty kaszubskie.



Obrazki malowane na szkle (po bokach), w pośrodku rzeźba ludowa przedstawiająca Matkę Boską.





TEL AWIW. W 1909 r. sjoniści założyli w Palestynie miasto Tel Awiw. W ciągu 23 lat rozrosło się ono w niebywały sposób i dzisiaj posiada 35.000 mieszkańców, wspaniałe gmachy i uniwersytet. Jest zamieszkałe prawie wyłącznie przez żydów emigrantów, których olbrzymi procent pochodzi z Polski. Zdjęcie po lewej przedstawia burmistrza miasta Tel Awiw p. Dyrengofa, w pośrodku emigranta z Polski, pracującego na roli, w towarzystwie Beduina z Sudanu, po prawej strażnika, wzywającego trąbką do zamykania sklepów.

ROZMAITOŚCI.



KONKURS ZGRABNOŚCI. W Londynie urządzono w tych dniach oryginalne wyścigi, do których stawali kelnerzy najwytworniejszych hoteli tego miasta. Wystartowali oni mianowicie do biegu, trzymając w rękach tace z butelkami dżinu. Moment ten przedstawia fotografja.



GROBY MIESZKANIAMI. W okolicach Cirenę w Trypolitanji spotyka się ogromną ilość grobów wykutych w skałach (na zdjęciu), które tworzą formalne miasta umarłych. Niedawno temu Beduini, powyrzucawszy nieboszczyków, zamieszkali w tych jaskiniach. Obecnie jednak Włosi eksmitowali Beduinów z niesamowitych tych mieszkań i umieścili ich w obozach koncentracyjnych.



OBRAZEK Z DUKLI. Dukla jest małem miasteczkiem, leżącem na Podkarpaciu, w województwie lwowskiem. — W średnich wiekach prowadziła tędy najważniejsza droga z Małopolski na Węgry. Z Dukli pochodził błogosławiony Jan († 1484), którego kult dotąd jest bardzo gorąco pielęgnowany w tem mieście. Zdjęcie przedstawia kościół w Dukli i pomnik ku czci błogosławionego Jana.



SROGI EGZAMIN. W głębi Australji żyją szczepy, znajdujące się na najniższym stopniu kultury i hołdujące przeróżnym barbarzyńskim zwyczajom. M. i. każdy młodzieniec przy dojściu do pełnoletności poddawany tam jest próbie na wytrzymałość. Przecinają mu więc wargi, a następnie kamieniem wybijają zęby (na zdjęciu). Jeżeli jęknie przy tem, albo skrzywi się zostaje bezapelacyjnie zabity, gdy próbę wytrzyma zostaje przyjęty do grona wojowników. Charakterystycznem jest, że prawie wszyscy młodzieńcy ten egzamin zdają.

W CIENIU... KAPELUSZA.

Lato niesie zazwyczaj z sobą miłą odmianę monotonji małego kapelusza w postaci dużych pasterek i Rembrandtów. Ale trzeba chwytać chwile, trzeba ubrać piękny duży kapelusz zaraz na progu lata, zanim nie ustąpi słomka kapeluszom filcowym, które nieomylnie przynosi zawsze moda letnia.

Właśnie teraz mamy okres królowania dużych kres. Śliczna to rama dla główki kobiecej, okolonej puklami włosów. Cieniutka słomka faluje miękko odchylając to jedną, to drugą stronę profilu. Sztywna słomka tworzy trwałe rondo, odgięte zazwyczaj z jednej strony, przyczem spływa aksamitka lub wstążka z pękiem kwiatów.

Duży kapelusz trzeba umieć nosić z wdziękiem. Przy długiej sukni z powiewnej gazy lub chiffonnette duży kapelusz jest nieocenionym motywem dekoracyjnym pięknej pani. Miękkie, łagodne ruchy, koniec pantofelka z pod długiej sukni... oczy przysłonięte cieniem kapelusza... czy to nie piękny obrazek?

Ale nietylko duże kapelusze nosimy obecnie. Raczej należą one do wyjątków. Powszechniejsze są fasony małe i malutkie i to do sukienek rannych, do płaszczyków i kostjumów. Nad morzem i na letnisku, gdzie niema mowy o osłanianiu się przed promieniami słońca, wystarczy do przytrzymania włosów berecik. Własnoręcznie zrobiony z jedwabiu jest tani i praktyczny i można mieć ich wybór do każdego koloru sukienki. Dla osób młodych jest to wymarzone przybranie głowy. Z pod berecika wychylają się wokół pukle włosów i dodają wdzięku świeżej buzi, pełnej uśmiechów i opalonej na brąz.

W. W.









Beret „Marius" z białej wełny przybrany opaską w kilku kolorach. Ten sam motyw na kołnierzyku i manszetach młodocianego pulloveru, do białej spodniczki.

Powyżej: Piękna pasterka z białej lśniącej słomki, przybrana czarną aksamitką, do lekkich sukienek letnich.

Na lewo: Prześliczny komplet marynarski. Suknia i żakiecik z białej wełny, bluza i maleńki kapelusik białe z niebieskim.

Na prawo: Biała bretonka ładnie harmonizuje z kamizelką i manszetami ciemno-granatowej wełnianej sukienki.

ZWIERZYNIEC W GRODNIE BRONI SIĘ PRZED LIKWIDACJĄ.

W kole:
Młodzież szkolna z Kółka Miłośników Przyrody — karmiąca bociana.

Poniżej:
Sarny są bardzo łaskawe, jadają z ręki.







Największą osobliwością zwierzyńca w Grodnie jest bóbr. — Na zdjęciu widzimy go wyłażącego z nory do basenu. Ponad bobrem usadowił się kruk.

Zwierzyniec szkolny w Grodnie został założony w 1918 r. Początkowo mieścił się on przy Ogrodzie botanicznym przy Gimnazjum, później jednak przeniesiono go na dawny plac gimnastyczny zwany „Trekiem“, który obecnie po rozplanowaniu i wyżwirowaniu dróg został zasadzony drzewami i krzewami, oraz upiększony kwiatami, tak że tworzy miłą i sympatyczną całość, gdzie mieszkańcy Grodna znajdują naprawdę estetyczny zakątek dla należytego wypoczynku.

Największą inwestycją było zbudowanie domku dla stałego dozorcy, oraz zimowych pomieszczeń dla zwierząt.
Wystawiono następnie pięć dużych woljer i trzy mniejsze, cztery klatki dla drobnych ssaków, oraz dwa ogromne stoiska dla jeleni. Wszystko to w czasie najcięższym, kiedy min. wyzn. rel. i ośw. publ. skreśliło subwencję i zniosło etat woźnego, a magistrat zmniejszył dotację.

Kierownictwo zwierzyńca stanęło wówczas wobec alternatywy: albo zlikwidować pożyteczną instytucję, albo zakasać rękawy do pracy i wydobyć ze społeczeństwa potrzebną pomoc do utrzymania tej pięknej placówki. Wybrano oczywiście drogę drugą. — Znaleźli się ludzie niespożytèj energji i żelaznej woli, jak pułkownik Adamowicz, prezes Tow. Miłośników Przyrody, oraz jego sekretarz Józef Jodkowski i inż. Jan Kochanowski, którzy nie pozwolili na likwidację zwierzyńca. Uznanie zasłużone należy się też „Sekcji“ imprezowej“, składającej się przeważnie z pań, które tyle wykazały zamiłowania dla całej sprawy, zapału i temperamentu, że potrafiły w ciągu kilku miesięcy zebrać około 3.000 złotych, co na stosunki grodzieńskie jest sumą wyjątkowo wielką.

Zapał celem utrzymania instytucji, pozostawionej od roku samej sobie, ogarnia coraz dalsze warstwy społeczne. Ostatnio zwrócono się do wszystkich szkół, by zachęcić młodzież do wykupna rocznego biletu wejścia do zwierzyńca w cenie 1 zł. Sądzić należy, że nauczycielstwo miejscowe, doceniając wartość nauki przyrody na żywych okazach, poprze gorąco starania kierownictwa zwierzyńca. — Miejmy nadzieję, że i Min. wyzn. rel. i ośw. publ. polecając w programie „Przyroda“ zakładanie ogrodów botanicznych i zoologicznych, znajdzie pewną sumę na utrzymanie tego, co od lat kilkunastu służy z pożytkiem nauce.

A nie jest to już mały zwierzyniec! Ciekawy jest przedewszystkiem dlatego, że jest jedynym w Polsce, który posiada bobra i to czarnego, który w ciągu trzech lat tak dalece oswoił się, że bierze pokarm z rąk dozorcy. Poza tem żyje tu 6 sarn, 3 jelenie, 3 wilki, 3 listy, 2 dziki, borsuk, 3 tchórze, 6 morskich świnek, 4 dzikie króliki, 6 wiewiórek, 3 jeże, 2 zające, 27 białych szczurów, 4 żółwie, 3 białe bociany i jeden czarny, spacerujący swobodnie po całym ogrodzie, 14 różnych bażantów, 2 gołębie, 4 pawiki i 4 synogarlice. Z ptaków drapieżnych widzimy: 5 orlików, 2 myszołowy, 2 gołębiarze, 2 pustułki, 2 pustułeczki, 3 kobuzy, puhacz, 4 puszczyki, 2 sowy uszate, 2 sowy pójdźki, sowę błotną, 2 sowy płomykówki, nadto 4 wrony, 3 sroki, 3 kawki, 2 gawrony i bardzo zabawnego kruka, który chodził stale z publicznością po ogrodzie, pełniąc obowiązki przewodnika. — Kiedy jednak z wiosną wykrył gniazda dzikich kaczek i powypijał z nich jaja, przebywa odtąd w ogrodzeniu, razem z bobrem. — Z ptactwa są tu jeszcze 2 krzywodzioby, 2 czyże, 5 gili, kos, 5 czeczotek, 6 dzwońców i 10 dzikich kaczek.

Po trawnikach ogrodu spacerują stale dwa okazałe pawie. Na drzewach porozwieszano sztuczne gniazda dla szpaków, sikorek i t. p. W zimie zaś ustawia się karmiki, w których młodzież karmi zgłodniałe ptactwo; czynią to głównie uczniowie gimnazjalni, zorganizowani w Kółku Miłośników Przyrody.

Z podziwem patrzeć należy na dokonane dzieło, na nadzwyczajny wysiłek, który potrafił instytucję pozbawioną wszelkich środków, nietylko utrzymać, ale rozwinąć — nawet w dobie apatji, kryzysu i powszechnego niemal, a tak zgubnego, załamywania rąk.

Oto, co znaczy dobra wola i zapał.

Józef Kobylański.

JAK STRACIŁEM MAJĄTEK?

Franciszek Baytel o swojej doli i niedoli.

Mam pisać o tem jak straciłem majątek, co mnie zgubiło i co sprawiło, iż z człowieka ogromnie bogatego stałem się dzisiaj prawie nędzarzem, że grozi mi wyeksmitowanie nawet z obecnego lokalu sklepowego, w którym równocześnie mieszkam, z lokalu przerobionego z... wozowni.

Nie chcę, by to, co tutaj napiszę, wyglądało na samochwalstwo, nie chcę, by zarzucano mi, że wypominam społeczeństwu te usługi, które mu kiedyś oddałem w miarę moich sił, możności i majątku. Ponieważ jednak „Światowid“ zwrócił się do mnie z uprzejmą propozycją, bym sam nakreślił kilka słów o moim losie, chcę tylko napisać całą prawdę o sobie.

Z małego zakładu zwierciadeł i szkieł w niewielkim domu na Nowym Świecie zdołałem przez wiele lat pracy utworzyć duże, znakomicie prosperujące przedsiębiorstwo, które przynosiło mi coraz to większe i większe dochody.

Może to moją największą było winą, ale nie umiałem pamiętać tylko o sobie. Nauczony byłem poprzestawać na małem i mieć czułe serce na wszystkie braki nietylko jednostek, ale i społeczeństwa.

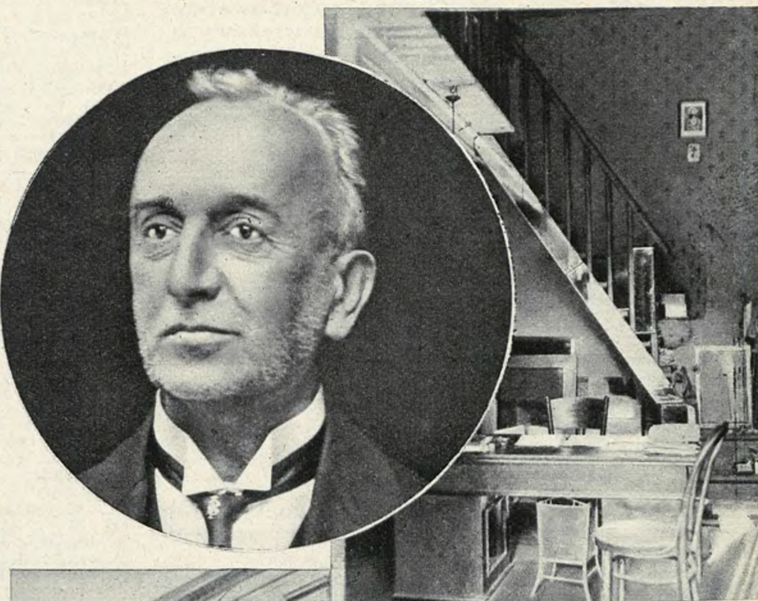
A właśnie przyszły pierwsze ciężkie lata odbudowy kraju, który ponownie zdobył swą niepodległość. Byłem wówczas człowiekiem bardzo bogatym i hojnie, bez opamiętania szafowałem zarobionym groszem na cele publicznie. Żyją setki i tysiące ludzi, którzy pamiętają moją akcję filantropijną. W pierwszym rzędzie otoczyłem swą opieką kościoły polskie, zniszczone przez wojnę. Ufundowałem organy w katedrze św. Jana, a bardzo znaczne ilości szkła i witraży rozdałem parafjom, w których wojna poniszczyła kościoły, nie pozostawiając w nich ani jednej szyby. Nie żałowałem pieniędzy na Dar Narodowy, wspomagałem wielkiemi sumami Macierz Szkolną. Otaczałem swą opieką szczególnie harcerstwo polskie i z pewnością wielu dawnych harcerzy, dziś już ludzi dojrzałych i na stanowiskach, pamięta owe wycieczki, jakie urządzałem dla hufców harcerskich z Warszawy do Krakowa, Wieliczki i Ojcowa, oraz z Krakowa do Warszawy.

Ogółem w tych latach szczęśliwych rozdałem na cele społeczne około pięciu miljonów złotych. Moralnie jestem za to hojnie sowicie nagrodzony. Wysokie odznaczenia otrzymane od Stolicy Apostolskiej za działalność filantropijną i społeczną, złoty żeton od Ministerstwa Skarbu za ofiarność dla Skarbu Narodowego — uważam za dostateczną nagrodę za to, co — według mojego głębokiego przekonania — było obowiązkiem obywatelskim.

Ale ta właśnie moja hojność, to rozrzucanie groszem, pozbawione troski o to, co będzie jutro i czy to jutro nie będzie gorsze, stało się początkiem mojej ruiny. Nie przewidziałem kryzysu z jego okropnemi skutkami. Rozdałem wszystko co miałem, pozbyłem się wszystkich rezerw — nie pozostało grosza na „czarną godzinę“. Kurczył się z roku na rok prowadzony przezemnie interes. Z wielkiego, wielopokojowego lokalu musiałem się przenieść do dawnej mojej wozowni. Płaciłem za nią przed wojną 8 rubli, dziś płacę — 200 złotych. Ostatni cios zadały mi podatki i świadczenia socjalne. Dla urzędników urzędu skarbowego byłem ciągle owym bogatym, arcybogatym Franciszkiem Baytlem.

Dziś nie mam nic! Czeka mnie wyrzucenie na bruk. Jestem już starym człowiekiem, mam lat blisko 70, ale nie daję się złamać nieszczęściu. Nie żałuję tej mojej lekkomyślnej — jakby kto powiedział — szczodrobliwości. Gotów jestem dalej walczyć o przetrwanie tych ciężkich czasów, bylem tylko spotkał się z pomocą ludzi dobrej woli. I choć może nie miejsce tu pisać o tem, chcę w tej chwili, gdy grozi mi utrata dachu nad głową, wyrazić głęboką wiarę, iż ci wszyscy, którym dawniej spieszyłem z pomocą — nie pozwolą mi dzisiaj zginąć, gdy obróciło się koło zawsze kapryśnej fortuny.

I ta wiara krzepi mnie w ciężkiej bardzo chwili. **Franciszek Baytel.**



Obecne pomieszczenie tego olbrzymiego przedsiębiorstwa w wozowni, przerobionej na warsztat i kantor, w którym mieszka p. Baytel.

W kole: Franciszek Baytel.



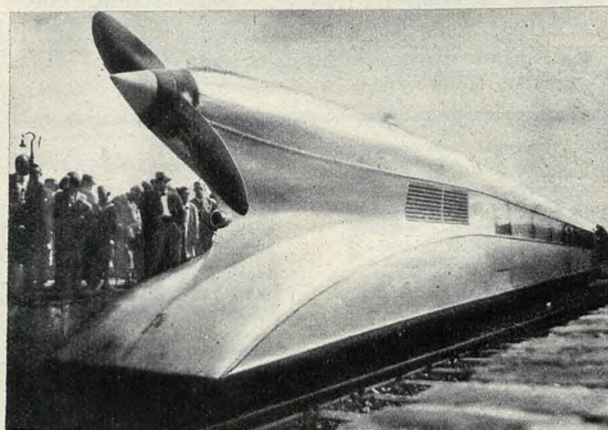
Obok: Front domu i sklepu, w którym mieściła się fabryka luster F. Baytel'a.

BRUNO WINAWER

CZY TECHNIKA SZALEJE?

Świat dzisiejszy zapadł na ostry kryzys gospodarczy, człowiek współczesny sam nie wie, co mu właściwie dolega i, jak niecierpliwy pacjent w dusznym pokoju, marudzi, narzeka. Skarży się płaczliwie na warkot motorów wybuchowych, wymyśla na maszynę, na wynalazców, na automaty, na konie mechaniczne, na benzynę, na kino.

Rzut oka na kronikę pierwszego lepszego pisma fachowego przekonałby chyba najbardziej rozgoryczonych, że te narzekania na postęp techniczny nie mają wielkiego sensu. Inżynierowie angielscy z firmy Cunard Co pracują od kilku miesięcy nad nową mieszanką do motorów spalinowych. Po bardzo mozolnych próbach udało im się wytworzyć wreszcie pewną miksturę z 60% gazoliny i 40%



„Zeppelin“ na szynach w drodze do Berlina.

węgla, dokładnie sproszkowanego. Napełniono tem zbiorniki okrętowe i statek „Scytia“ wyruszył z Liverpoolu do Nowego Jorku, a grono wynalazców — pp. Adam, Holmes, Perrin — czeka z drżeniem serca na rezultat. Jeżeli próba się uda — górnicy angielscy znów znajdą zajęcie, kopalnie węgla na nowo się ożywią, koszt transportu znacznie się obniży, bo jedna tylko „Cunard Line“ zużywa rocznie przeszło miljon tonn paliwa płynnego w motorach Diesla.

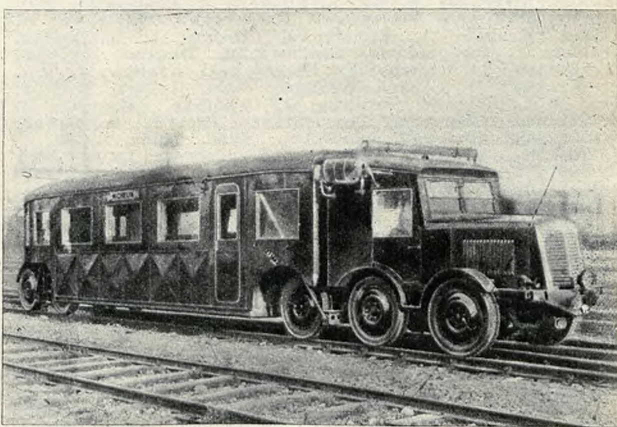
Skoro już mowa o transporcie — Ameryka, Niemcy, Francja chcą połączyć odwieczną kolej żelazną z modnym autokarem i puścić samochód wieloosobowy na szyny. Jak się zdaje, głównym szkopułem będą tu opony, które wciąż jeszcze są „piętą Achillesową“ każdego auta. Dlatego to p. Harvey Firestone, właściciel i dyrektor głośnej fabryki, obmyślił niedawno nowy własny typ koła pneumatycznego i razem z współpracownikami-inżynierami odbył podróż próbną w „aucie kolejowem“ z Miami do Jacksonville. Pędzono z szybkością 120 km. na godzinę, strzelano do opon z rewolwerów, próbując, czy wypadek może wywołać groźniejszą katastrofę. H. Firestone jest z wyniku doświadczeń bardzo zadowolony, jak i jego konkurent w Europie, p. Michelin, przepowiada, że setki kilometrów próżnujących dziś dróg żelaznych można będzie wyzyskać na nowo, twierdzi, że podróż wakacyjna już wkrótce będzie o wiele przyjemniejsza i szybsza, niż dotychczas. Znikną zadymione dworce, kopcące lokomotywy przestaną zatruwać atmosferę dymem i niedokładnie spalonym węglem, powietrze się oczyści... Dodajmy, że całe gromady chemików pracują teraz właśnie nad zagadnieniem syntetycznego, pewniejszego, bardziej określonego materjału elastycznego. Znaleziono już „tiokol“, który w wielu wypadkach świetnie zastępuje gumę, jest sprężysty i trwały i przyczyni się może kiedyś do zmniejszenia turkotu, do sprawniejszego, cichszego działania motorów ruchomych... Ma przytem nowe cenne własności, nie wietrzeje, łatwo nie rozpuszcza się w gazolinie...

Najzdolniejsi technicy z głośnej Westinghouse Electric Co pracują nad udoskonaleniem t. zw. „elektrycznego oka“, czyli owej komórki fotoelektrycznej, którą znamy już trochę dzięki opisom aparatów dźwiękowych i telewizyjnych. Zwykła rurka próżniowa może być tak wrażliwa na światło, że na najlżejszą zmianę w oświetleniu reaguje zmianą prądu. Stąd już wynika prosty wniosek, że można ją zmusić, by sortowała samodzielnie gatunki cygar jaśniejsze i ciemniejsze, by zapalała automatycznie latarnie, kiedy się ściemni, alarmowała, kiedy ogień w piecu przygasa, zawiadamiała, że dym się wydziela, albo wstęga gotowego produktu pękła w maszynie... Może w tysiącznych wypadkach zastąpić człowieka w nudnej, wyczerpującej pracy bezczynnego dozorcy.

Zresztą inżynierowie z warsztatów doświadczalnych Westinghouse'a zgłębiają jeszcze ważniejsze zagadnieina praktyczne. Jaki wreszcie obrać system i jak ulepszyć odbiorniki radjowe tak, byśmy mogli otrzymywać rysunki, szkice, fotografje przez eter? Próby dotychczasowe dają — jak wiadomo — wyniki doskonałe, ale chodzi o stworzenie np. „gazetki domowej“, aparatu, któryby zręcznie notował ważniejsze wiadomości nadawane przez radjostację. Dzisiejszy abonent musi sam czatować przy szpulach, cewkach i głośnikach, czekać aż mu podadzą wynik meczu, wyborów, albo ceny rynkowe. Odpowiednio nastawiony przyrząd — „telewizor“ — powinienby te dane automatycznie odbić i utrwalić... Może redakcje pism zamienią się z czasem na radjostacje i będą dostarczały abonentom wiadomości falami elektrycznemi?

Ciekawym objektem dociekań są też nowe potężne rury roentgenowskie. Uczeni stwierdzili oddawna wpływ biologiczny promieni X — nawet na rośliny — otrzymuja bardzo ciekawe nowe odmiany pod działaniem tych fal energicznych na ziarna i dlatego technicy usiłują stworzyć najwydatniejsze, najobfitsze źródło najprzenikliwszych promieni, które w klinikach i laboratorjach doświadczalnych odegrać może wielką rolę.

Dodajmy do luźnej wiązanki faktów jeszcze jeden — bardzo charakterystyczny. Ameryka posiada teraz genjalnego specjalistę — fenomenalnego znawcę instrumentów optycznych, profesora Ritcheya. To on jest twórcą największych teleskopów współczesnych, czuwał nad masą szklaną w



Michalinka, autobus szynowy na pneumatykach.

głośnych hutach francuskich w Saint-Gobain, szlifował i polerował zwierciadła. Doszedł do wniosku, że powierzchnie owych luster wklęsłych są niewłaściwie obliczone, że wielki teleskop na Mount-Wilson „deformuje“ jak dziecinny aparat fotograficzny, że można zbudować lunetę dwa razy mniejszą, a jednak siedem razy „wydajniejszą“, doskonalszą od istniejących... I już rozpoczął pracę nad nowym teleskopem, a astronomowie całego świata czekają na wynik. Reflektor Ritchey-Chretien ma być czemś epokowem...

Co z tych faktów i rozważań, których spis mógłby być znacznie większy, wywnioskować należy? Technika nie szaleje, jak się to nerwowym feljetonistom zdaje. Przeciwnie — ma wielką cześć dla zdrowego rozsądku i dlatego usiłuje usunąć niektóre błędy, niedomagania, jawne absurdy, zamienia maszyny i narzędzia na lepsze, logiczniejsze, sprawniejsze.

Szarada „pejzaż“.

uł. Janina Ursel-Wonschowa, czł. Kl. Szar.

O jakżeś cudna nasza polska wsi z swym dworem,
Co się bieli na wzgórzu w wieńcu lip wiekowych,
Ja kpiękna tyś — Modlnico — za miasta ugorem —
Z ludem w krakowskich barwnych strojach narodowych
I z prastarym kościółkiem drewnianym — w zieleni,
Co ścian swoich siwizną wyłania się z cieni...

Owiany kwiatów wonią, jakby zadumany —
O **siódmej-ósmej-dziewięć** śniący coś w tęsknocie —
Stoi stary kościółek: jego białe ściany —
W zachodzącego słońca kąpią się pozłocie...
Wtedy **dziewiąte-pierwsze** ból się w ludzkiej duszy
I niejedno się serce **siódme-trzecie** wzruszy...

Na wzgórzu leży cmentarz w zieleni schowany,
A słońce o zachodzie kładzie na nim róże —
Wieńcząc ciche mogiłki oraz murowany —
Zatapiając grobowiec Konopków w purpurze...
Siódme-ósme już czasu wiele od tej chwili,
Gdy się do snu wiecznego tutaj ułożyli...

Pełen **szóstych-dziewiątych** kwietnych park i sady,
Wśród nich zaś widać spichlerz, który przetrwał wieki,
Choć złożony od stropu do samej posady —
Z belek, których nie tknęły gwoździe ani ćwieki...
Dalej dwór w **pierwszej-trzeciej** białej nieskalanie,
Cały z drzewa, lecz spodem ma podmurowanie.

Czwarte-ósme już słońce, co przed chwilą złotem —
Malowało dwór cały i ganku kolumny,
Ubrane winogradu szmaragdowym splotem...
Dni przechodzą i lata, a ty stoisz dumny
Dworku stary! Tyś zdobył i urzekł mą duszę,
O pięknie twem w szaradzie opowiedzieć muszę!

Czwarte-piąte i szóste — to przeszłości karta,
Co jakby żywem słowem przemawia do ludzi,
To historja narodu — żywa, nie podarta,
Jak podniosłe uczucia dzisiaj ona budzi...
Nikt nie **czwarte** i **siódme** swoich Ojców wiary —
O piąty Kraju walcząc — ponosi ofiary!

Więc **pierwsze-drugie-trzecie** co Wam przeszłość niesie,
Czy to w pysznym pałacu, czy w skromnej zagrodzie,
Żywcie miłość do tego, co w czasu okresie —
Przechowało swe piękno, choć dziś nie jest w modzie...
Niech każdy swoich dziadów mądre czci nauki,
Jeśli chce — by go własne też kochały wnuki!...

Za rozwiązanie niniejszego logogryfu-szarady redakcja „Światowida“ przeznacza

trzy nagrody.

Pierwsza zł. 30, druga zł. 20, trzecia zł. 10.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 16 lipca 1932 r. wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr. 25

Nadchodzi lato cudowna pora.

Trafne rozwiązanie zagadki z Nr. 25 nadesłali:

Marja Rundowa, Bielsko; Marjan Taras, Stryj; I. Lewicka, Lwów; L. Lenartowski, Poznań; dr. St. Dumania, Kraków; E. Rozenberżanka, Brzeziny; M. Pietrasiewiczówna, Ozorków; Ir. Morawska, Pabjanice; J. Brzycka, Hałcnów; Z. Łakociński, Kraków; N. Stradowska, Kielce; M. Stanowska, Kraków; J. Wyrzykowski, Poznań; A. Łazar, Toruń; Wł. Mazur, Kraków; pl. M. Szymko, Podbrodzie; Ign. Wołkowicki, Strzyżów; M. Krysa, Kraków; T. Cieszewski, Wilno; M. Kurkówna, Warszawa; „Czerwczyk“, Warszawa; A. Kłohes, Kraków; A. Konełkowa, Cieszyn; I. Dąbrowska, Kraków; J. Toepperówna, Kraków; Zdz. Okuljar, Kraków; Cz. Giersztówna, Gniezno; Fr. Krzeczowski, Kraków; J. Krupa, Kraków; M. Urbach, Kraków; Wład. Gajowa, Poznań; Kaz. Brok, Dąbrowa Górnicza; J. Ochońska, Zakopane; B. Morgenbesser, Łoszniów; Ponomarenko, Łęczyca; K. Nowak, Tarnów; Cz. Kozłowski, Warszawa; Wład. Gulda, Lwów; J. Makosikówna, Leżajsk; Augustyna Bieniaszowa, Lwów; Kaz. Iżyczek, Tarnów; W. Kortylewicz, Poznań; „Gaspard“, Warszawa; „Jaśka z Maryśką“ z Krakowa; Z. Ajszpurowa, Królewszczyzna; „Zosia z Tadkiem“, Kraków; Z. Sienkiewicz, Wilno, H. Frankowska, Bitków; por. Edw. Kreyzer, Warszawa; Jawnuta, Słonim; H. Gintrowski, Kraków; W. Sowa, Dąbrowa Górnicza; „Juwal“, Szamotuły; Pola Hampel, Katowice; J. Lewenstein, Warszawa; Z. Pieracki, Wilno; M. Lipińska, Kraków; J. Bielesz, Kraków; M. Daszewski, Warszawa; J. Horowski, Kraków; Fr. Świerczek, Kraków; A. Duda, Tonie; T. Klimczak, Złoczów; E. Welfeldówna, Jasło; Maryla z Torunia; Janina z Torunia; Eug. Sit, Tarnów; K. Puchowicz, Warszawa; „Wan-Dyck“, Warszawa; B. Morawski, Katowice; Tola Rakowska, Poznań; „Yes“, Zawiercie; St. Rakowski, Poznań; Jurek i Halina z Królewszczyzny; M. Alkoff, Warszawa; Pola Pelcowa, Kielce; dr. med. Urbański, Gniezno; R. Chromiński, Łuck; Kaz. Koszko, Zakopane; L. Pomianowski, Radom; W. Potocki, Grodno; J. Doroszkiewicz, Królewszczyzna; Z. Eljaszewicz, Królewszczyzna; J. Garzyński, Kraków; **J. Slutówna, Kraków (zł. 30.—)**; Miecz. Kuszewska, Kalwarja; Stan. Mucha, Kraków; Ir. Muchowa, Kraków; J. Robak, Kraków; Maryla, Inowrocław; M. Wasilewska, Raciąż; Marjan Nijak, Łódź; J. Tarłowska, Warszawa; Jurasek z Bydgoszczy; W. Pędzimąż, Zakopane; Wł. Dratwińska, Modrzejów; W. Wysocki, Skierniewice; A. Borowicz, Poznań; J. Tyblewska, Poznań; W. Tyblewski, Poznań; „Wilnianka“; M. Zapiór, Kraków; St. Bąkowski, Kraków; H. Łakotówna, Zawiercie; M. Gorzecka, Kraków; E. Krajewska, Żabno ks. L. Klementowski, Tarnopol; Członkowie Czytelni TSL., Węgierska Górka; L. Bira, Kraków; J. Świerczyńska, Lwów; E. Kräutler, Bielsko; Sz. Rybczyk, Rzeszów; W. Siuta, Kołomyja; Z. Boulange, Baczków; „Szaradzista“, Poznań; I. Frezerowa, Ossówiec; H. Wasielewski, Ostrów; K. Kubianka, Ostrów; Wł. Boner, Lwów; D. Doliwa-Dobrowolski, Warszawa; E. Gałczyńska, Włocławek; W. Gadomski, Kraków; Stan. Pretkielowa, Warszawa; N. K. Kozłowski, Warszawa; Z. Szpornówna, Kraków; E. Ziętkiewiczowa, Warszawa; L. Dachowski, Kielce; Aleks. Kostyrka, Brześć; J. Głuchowska, Pińczów; Jawna Kowalska, Warszawa; Z. Lewensteinowa, Łódź; Ir. Lesińska, Kępno; Dremo Wład., Wilno; Jola Kowalczykowa, Łódź; Mich. Pietrusiński, Brześć; Emil Pasierb, Tarnów; D. Bielecka, Kiekrz; W. Zbychowski, Bydgoszcz; J. Sierpniak, Inowrocław; J. Rogowski, Warszawa; St. Ruebenbauerowa, Lwów; A. Papee, Katowice; Wł. Pochmarski, Lwów; J. Wnukówna, Sosnowiec; St. Biesiada, Ozorków; A. Szeworski, Nowy Sącz; Zdz. Fischbach, Września; R. Dergiman, Wilno; Jan. Miodowiczówna, Gniezno; R. Schützowa, Poznań; T. Sobecki, Poznań; „Joteł“, Warszawa; Kaz. Kalinowska, Lwów; Z. Żukowa, Jędrzejów; A. Wróblewska, Inowrocław; J. Maćkowiak, Krzywin; T. Gibasiewicz, Poznań; K. Karolewicz, Poznań; St. Kornaszewski, Inowrocław; **Jan hr. Moszyński, Toruń (zł. 20.—)**; H. Turowicz, Kraków; H. Smoczkiewicz, Kraków; J. Rospondówna, Lwów; Stan. Rojek, Lwów; E. Unverricht, Pawłów; M. Urbankiewicz, Pabjanice; Maffida Ch., Kraków; „Tosia z Zakopanego“; F. Wachulski, Jaworzno; J. Antonowiczówna, Równe; Z. Apfelsüss, Przemyśl; H. Greif, Przemyśl; Ad z Hożej; T. Larek, Śmigiel; N. Buczkówna, Rzeszów; R. Mendrala, Rzeszów; Stanisław F., Kraków; A. Klohes, Kraków; J. Gruszka, Kraków; D. Piekosińska, Brzezowiec; A. Piekosińska, Brzezowiec; Klemens Robert Dekler, Warszawa; Z. Wołoszynówna, Woszczyce; T. Kretkowski, Warszawa; Wł. Bielecki, Miechów; H. Gołembiowska, Kalisz; Mich. Kirszenbaum, Częstochowa; Wł. T. Kalewska, Ostrów; J. Papiż, Ostrów; M. Moszyńska, Lwów; Stacha z Piotrkowszczyzny; Z. Tietz, Warszawa; Stan. Mikowska, Warszawa; Janusz Roman, Warszawa; D. Herbstmanówna, Warszawa; A. Wilczkówna, Limanowa; H. Wierzbicki, Suwałki; J. Kawecki, Jaworzno; „Maryśka z Pohulanki“; Em. Kochmańska, Kraków; J. Wajsfeld, Pińczów; A. Kasprzyk, Kraków; J. Partyka, Wilno; „Jurysta“ Trzemeszno; Ihnatowicz, Gdynia; J. Gorączka, Kraków; A. L. Ordza, Kraków; Z. Biesiada, Ozorków; H. Drzewiecka, Miejska Górka; S. Kowalski, Pińczów; Fl. Sędzierski, Poznań; St. Karolewicz, Warszawa; M. Jarońska, Bielsk Podlaski; „Bezrobotny w stolicy“; Z. Tauferko, Kraków; Stan. Stanik, Radom; Aleks. Waszkiewiczówna, Łódź; T. Fedejko, Przemyśl; Mich. Wysocka, Warszawa; Edw. Cudek, Lwów; Stan. Sulikowski, Wieluń; **Janina Ursel-Wonschowa, Piastów** (zł. 10.—); J. Książczakowa, Warszawa; J. Krosnowski, Warszawa; M. Halpern, Sosnowiec; B. Tandul, Białystok; Z. Łabęcki, Tarnowskie Góry; M. Urbanówna, Kraków; J. Maziarz, Ozorków; H. Zasztowtowa, Katowice; L. Tryświetowa, Grodno; M. Waksmundzka, Jasło; J. Jaworzyński, Kraków; L. Jaworzyńska, Kraków; Włodz. Wokal, Kraków; „Ael“, Sosnowiec; Z. Gowazdowska, Kraków; L. Siuda, Poznań; J. Szarfenberg, Kalisz; J. Woźniak, Kraków; Franc. Lelek, Kraków; por. Bron. Bubnicki, Kraków; Stan. Móchliński, Pakość.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Siutównę, Kraków (zł. 30.—), Jana hr. Moszyńskiego, Toruń (zł. 20.—) i Janinę Ursel-Wonschową, Piastów (zł. 10.—).

Redakcja „Światowida“ zamiejscowym prześle nagrody niebawem.

MIĘDZY PRZYJACIÓŁKAMI.



— Czy ty wiesz, że twój narzeczony, to właściwie chciał się ze mną żenić?

— A cóż mnie obchodzą wszystkie głupstwa, które przed zaręczeniem się ze mną robił.

DWAJ „KOMBINATORZY“.



— Wie pan co, mam doskonały pomysł. Świetny interes do zrobienia!

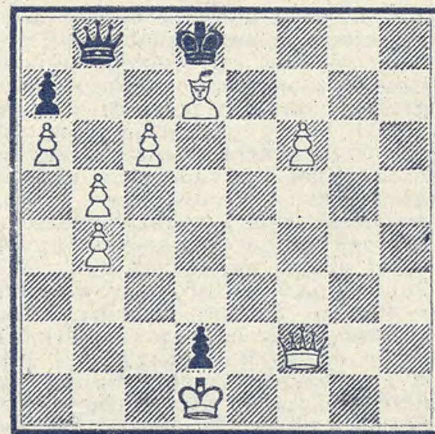
— Doskonale. A na ile lat więzienia liczy pan tak mniej więcej?

Dział szachowy

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

O. G. Lauritzen („Neue Leipziger Zeitung“ 1932).

Czarne: Kd8, Hb8, piony: a7, d2 (4).



Białe: Kd1, H2f, Gd7, piony: a6, b4, b5, c6 (8).

3-chodówka. 8 + 4 = 12.

Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie 3-chodówki O. G. Lauritzena: 1. H—c5!

I. 1... H—a8. 2.b6 i 3×;
II. 1... H—b7. 2. c×b7 i 3×;
III. 1... H—b6 (—b5, —d6, —e5 itd. do h2). 2. c7+ i 3×;
IV. 1... H—c8. 2. c7+ i 3×;
V. 1... K—c7. 2. H—e5+ i 3×.

PARTJA.

Białe: **Kalnius** — Czarne: **Petrow**

grana w turnieju o mistrzostwo Rygi w r. 1932.
Gambit Froma.

1. f4 e5	8. K—g1 G—g3
2. f×e5 d6	9. W—h5 g6!
3. e×d6 G×d6	10. G×h8 g×h5
4. S—f3 S—f6	11. G—b2 H—d6
5. b3? (1) S—g4	12. G—d4 (2) C—c6
6. G—b2? S×h2	
7. K—f2 S—g4+	**Białe poddały się.**

UWAGI:

(1) Słabo zagrane; należało grać S—c3 i e4.
(2) Groził mat G—h2+ itd.

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ
W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

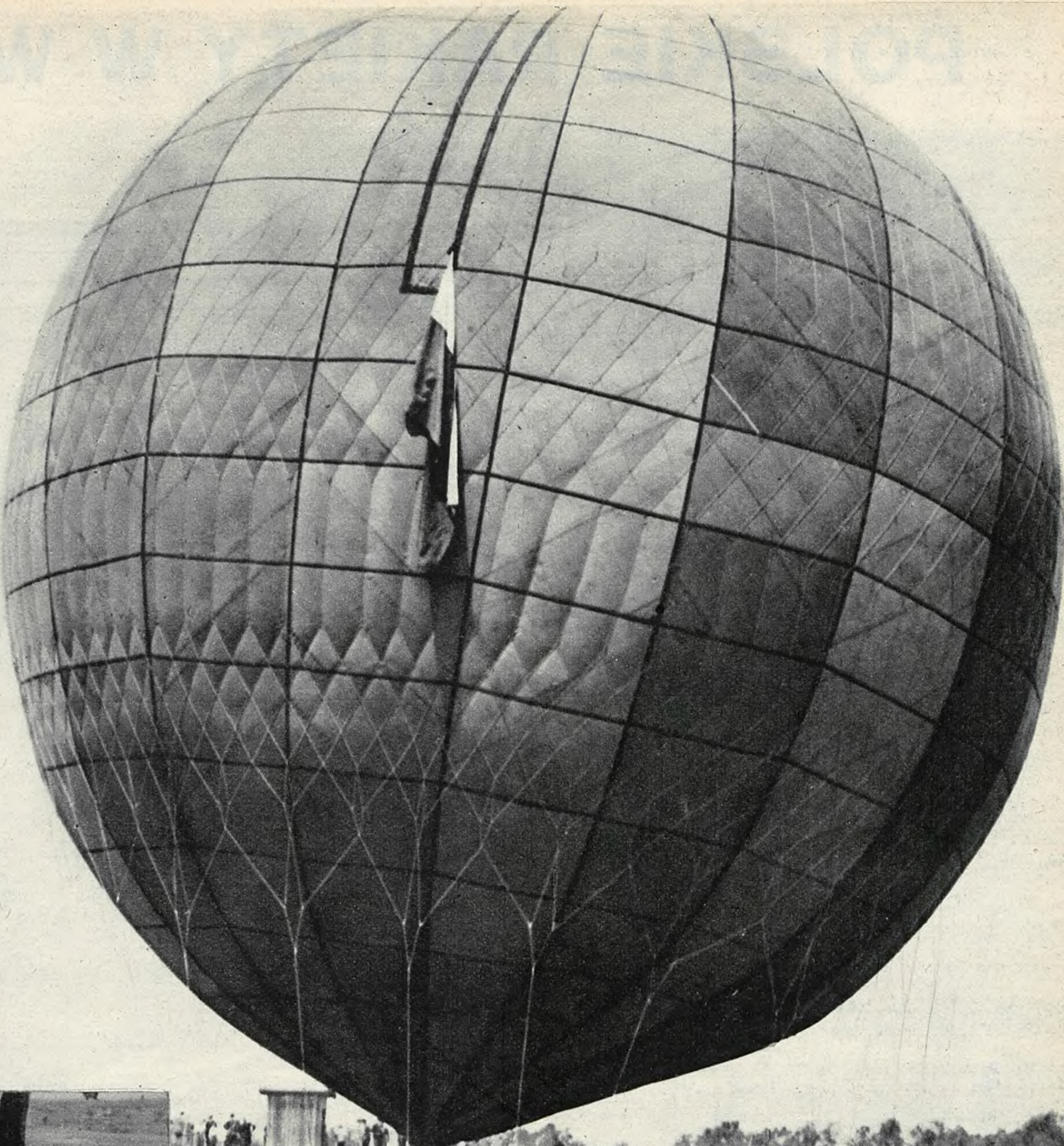
CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus“) — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus“), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor:
MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 28 upoważniający do losowania nagrody

Z CAŁEJ POLSKI.

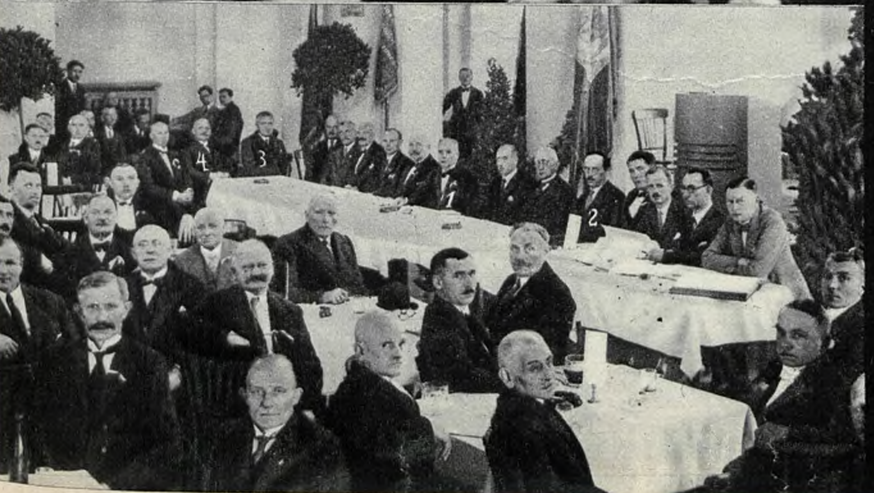












Na lewo w kolejnem następstwie od góry na dół:

NOWA PLACÓWKA WYCHOWAWCZA W POLSCE. W tych dniach w Jaciążku (woj. warszawskie) zgromadzenie XX. Salezjanów objęło w swój zarząd okazały zakład wychowawczy, zbudowany niestrudzonemi zabiegami obywaetla p. Stanisława Domaradzkiego. Nasze zdjęcie przedstawia fragment budynku z wysoką wieżą.

EFEKTOWNE WYŚCIGI MOTOCYKLOWE W POZNANIU. W stolicy Wielkopolski rozegrano zawody motocyklowe o Grand Prix Polski. Bardzo efektownie przedstawiał się moment startu, kiedy zawodnicy poszczególnemi kategorjami ruszyli z miejsca.

KONGRES EUCHARYSTYCZNY W RADOMIU. Katolicy djecezji sandomierskiej niewątpliwie na długo zachowają w pamięci wspaniałą tę manifestację katolicyzmu. W uroczystym pochodzie kroczyli liczni dostojni przedstawiciele Episkopatu, po obu stronach flankowani przez straż honorową, za którą postępowały rzesze pobożnych.

JUBILEUSZ WOLNEGO CECHU SZEWSKIEGO W POZNANIU. Lat już 650 liczy ta poważna organizacja rzemieślnicza. Nic więc dziwnego, że jubileuszowy jej obchód wypadł bardzo okazale. Zebraniu inauguracyjnemu przewodniczył delegat warszawski p. Dobrzyński (1) obok niego przy stole prezydjalnym zasiedli pp. starszy cechu poznańskiego Rybelski (x), dalej radca Zaleski (2). Przy drugim końcu stołu siedzą m. i. pp. sen. dr. Seyda (3) i poseł Górczak (4).

START BALONU KULISTEGO W KRAKOWIE. Po pierwszej nieudałej próbie tem silniejsze wrażenie wśród licznie zebranej publiczności wywołał drugi, już zupełnie udały start balonu kulistego, zorganizowany przez Krakowski Aeroklub ubiegłej niedzieli na boisku K. S. „Cracovia".

POLSKIE RAKIETY W WIMBLEDON.



Na zawodach w Wimbledon w Anglji o nieoficjalne mistrzostwa świata w tenisie reprezentowali Polskę J. Jędrzejowska i Tłoczyński (na zdjęciu), odnosząc szereg sukcesów.

S. T. Jakimowicz — Londyn.